

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: *Aleksander Lednicki*:—Autorytet i Wola. *Ludwik Kułczycki*:—Nowy gabinet. Samobójcy.—*Leon Kozłowski*: Polska a pomoc dla Rosji.—*Prof. Fryderyk Zoll*: W sprawie podniesienia przemysłu w Polsce (dokończenie). *T. G.*: Imperjum Brytańskie.—*M. Dąbrowski*: Irlandia restituta.—*Ł.* — Przygotowanie dziennikarzy. — Z piśmiennictwa. — W polskim Komitecie pomocy Rosji. — Dom dla zakładników. *Julja Dicksteinówna*:—Parę słów o dzisiejszej twórczości. (odcinek).

Autorytet i wola.

„Wobec was, wobec całej Europy, w obliczu nieba i ziemi oświadczam wam, żeście się do tej roli, którą teraz sprawujecie nie zrodzili. Dobrymi, poczytawymi ludźmi jesteście, jesteście nawet dobrymi Polakami, lecz nie wiecie tego, co czynić potrzeba w obecnej chwili.. Jedną wam radę podaję: zróbcie namiestniczą narodu władzę..“

Te słowa namiętne i gorzkie rzucił w 1831 roku Sejmowi Polskiemu Maurycy Mochnacki, a wyrok surowy, w tych słowach zawarty, stwierdziła historia. Nieudolny Sejm w chwili groźnej i stanowczej wobec strasznego niebezpieczeństwa obradował bez końca „nie wiedząc co czynić potrzeba“, marnował czas, marnował zapał i siły narodu.

Pod wpływem protestu opinii publicznej Sejm wreszcie zdobył się na stworzenie Rządu, w którego ręce złożył namiestniczą narodu władzę.

Ale i w tym Rządzie Narodowym nie było człowieka, który był stworzony na wodza narodu w ówczesnych warunkach, który był wiedział, co czynić potrzeba, który by posiadał plan określonego działania, *wolę* stanowczą na wprowadzenie w życie planu tego, i *autorytet* tę wolę wspierający.

Byli w tym Rządzie nawet wielcy ludzie, jak książę Adam Czartoryski i Lelewel, i posiadali nawet autorytet, pierwszy wśród arystokracji, drugi wśród demokracji. Ale ani jeden ani drugi nie mieli autorytetu niepodzielnego i, co więcej, nie mieli woli, której sytuacja wymagała.

Wielki uczony i umysł szlachetny, ale człowiek chwiejny i niezdecydowany, Lelewel wogóle mężem stanu i politykiem nie był i nie miał woli do działania politycznego. Książę Czartoryski zaś, mąż stanu w wielkim stylu, na kanclerza wielkiego mocarstwa stworzony, nie był odpowiedni na stanowisku wodza powstania i kierownika rewolucji. Nie wierząc w powstanie, nie miał tej woli, która by postawiła go na czoło mas i prowadziła do celu przez powstanie listopadowe wytkniętego. Polska w latach 1830—31 nie wyłoniła z siebie ani Cavoura ani Garibaldięgo, nie miała męża stanu, który by dłonią silną ujął losy narodu i bieg wypadków. I w walce podjętej straciła Polska wszystko przez to, że ani w rządzie cywilnym ani w dowództwie naczelnem armji nie miała ludzi odpowiednich do zadań, jakie stały przed narodem.

Powszechnem i słusznem było przekonanie współczesnych, że Polskę w r. 1831 brak wodza zgubił, bo w narodzie były siły do walki i materialne i moralne.

„Było to powszechnem narodowym narzekaniem, pisał Mickiewicz w „Pielgrzymie Polskim“, że nie znaleźliśmy w rewolucji człowieka, któryby wolę mas odgadnął i oczekiwaniom ich zadość uczynił. O takiego człowieka Polska wolała, wygląda dotąd i w przyszłości przeczuwa“.

Przypomniały mi się te słowa wieszczki i wypadki, z których powodu były powiedziane, gdyż stoimy dziś wobec sytuacji analogicznej. „Mamy Sejm, którego nieudolność Maurycy Mochnacki,

gdyby był powstał z grobu, napłętnował by w słowach jeszcze bardziej namiętnych i ostrych; mamy rząd po rządzie, z których żaden nie wie, co czynić potrzeba w chwili obecnej, i z których każdy zostawia po sobie kraj w sytuacji jeszcze gorszej, niż jego poprzednik. Straciwszy wiarę w Sejm, wypróbował wszystkie kombinacje partyjne dla tworzenia gabinetów, Polska woła dziś, jak blisko sto lat temu, o człowieka, któryby „wołę mas odgadnął” i oczekiwaniom ich zadość uczynił, woła o człowieka, któryby miał *plan* naprawy sytuacji, *wołę* dla wykonania tego planu i *autorytet*, *wołę* tę wspierający, to jest zaufanie mas.

Nie zagraża nam, jak w roku 1831, armja Paskiewicza niewolę niosąca, ale grozi nam katastrofa finansowa, w której następstwie możemy dostać się pod kuratelę obcą, to jest utracić swoją niepodległość. I w walce z tym niebezpieczeństwem możemy przegrać dla braku planu i kierownictwa jak w r. 1831, mimo to, że dziś, jak i wówczas, mamy szanse do zwycięstwa. Bo jak wówczas był dostatecznym materiałem ludzki i zdolność do walki w narodzie, tak też dziś już, nastąpił przełom powojenny, i zjawila się zdolność do pracy w narodzie i podstawa ekonomiczna dla dobrych finansów. Jest wprost rażąca dysharmonja pomiędzy polepszającym się stanem ekonomicznym kraju i pogarszającym się stanem finansów Państwa. Polepszający się stan ekonomiczny kraju jest rezultatem indywidualnych wysiłków poszczególnych członków społeczeństwa — pracy u dołu, pogarszający się zaś stan finansowy państwa jest następstwem, po za przyczynami ogólnopolitycznymi, braku dobrego planu gospodarki państwowej, braku kierownictwa u góry społeczeństwa. Tak jednak długo trwać nie może. Jak brak kierownictwa w armji zabija entuzjazm żołnierza i marnuje jego bohaterstwo, tak też nieudolna ogólnopństwowa gospodarka marnuje indywidualne wysiłki i gasi w ludziach zapal do pracy. Nie może być rozkwitu ekonomicznego w kraju, jako stałego zjawiska, przy zlej gospodarce państwowej. I jedno z dwojga: albo korzystając z polepszenia stanu ekonomicznego Państwo znajdzie drogę do naprawy swych finansów, albo katastrofa finansowa w Państwie zatakuje rozwój ekonomiczny i sprowadzi katastrofę gospodarczą kraju. Są już groźne objawy świadczące o tem, że pod wpływem dezorganizacji skarbowej Państwa zatamowanym został postęp w budzącem się życiu przemysłowem.

Te objawy jeszcze w większym stopniu, niż wciąż nieustający spadek naszej waluty, świadczą o tem, że już najwyższy czas potemu, aby chwycić się stanowczych środków dla radykalnej zmia-

ny naszej polityki wewnętrznej, a przede wszystkim finansowej, dla ratunku Państwa przed ostateczną katastrofą gospodarczą. Projektów i planów naprawy finansów jest dużo, znane są historyczne precedensy na zachodzie, które miały miejsce w czasach wielkich wstrząśnień, ale chodzi nie tylko o to, by wybrać z tych planów najlepszy, najwięcej pozytywny i praktyczny, najprędzej w danych warunkach do celu prowadzący, ale trzeba jeszcze mieć *wołę* plan ten wykonać, posiadać *autorytet* niezbędny dla przełamania wszystkich przeszkód na drodze do realizacji przyjętego planu. Trzeba porwać społeczeństwo do świadczeń na rzecz Państwa, do posłuchu wobec konieczności dziejowej.

O człowieka, któryby posiadał *wołę* i *autorytet*, woła dziś Polska.

Skąd wziąć takiego człowieka? Czy mamy wielkich mężów stanu, finansistów z *wołą* i *autorytetem*? Dotychczas ich nie widać. Mamy ludzi posiadających wiedzę fachową, w zakresie skarbowości i winnych dziedzinach gospodarki państwowej, a zatem posiadających *autorytet naukowy*. lecz to nie jest *autorytet polityczny*, który ma zaufanie mas, który łamie przeszkody, który staje jak mur wobec fall bijącej, który zmusza ludzi ponosić ciężary, składać ofiary, który swem imieniem zapala gasnący dziś płomień narodowego porywu i entuzjazmu. I czy można wymagać aby w jednej osobie łączyły się i wiedza fachowa i *woła* administratora i *autorytet* wodza politycznego?

Nie chodzi więc o dyktatora finansowego, o którym często dziś daje się słyszeć. Minister skarbu spełni swoje zadanie jeżeli da praktycznie opracowany plan naprawy finansów, jeżeli zorganizuje aparat do wykonania. Lecz dlatego, aby przełamać przeszkody polityczne na drodze będące, aby plan wymagający ofiar od społeczeństwa, społeczeństwu narzucić, dlatego potrzebny jest już nie *autorytet fachowy* ministra skarbu, lecz *autorytet polityczny* głowy Rządu, który plan ten podejmie. Czy mamy mężów stanu z *wołą* i *autorytetem*, jakich obecna godzina ciężkich przesileń wymaga? Ludzie z *wołą* z pewnością byliby się znaleźli, chociaż *woła* silna nie jest cechą naszego charakteru.

Ale *autorytet*? Otóż tu dochodzimy do najfatalniejszego punktu całego zagadnienia.

Nie mamy ludzi, którym by ufał niepodzielnie Naród.

Jesteśmy ogoloceni z *autorytetów*, jak żadne inne społeczeństwo. W walce partyjnej zniszczone zostały wszystkie powagi, powalone wszystkie *autorytety*, odarto z zasług przed krajem wszystkie wybitniejsze polityczne jednostki, w nienawiść

podano każde imię głośniejsze, topiono każdego, kto się uniósł nad powierzchnią naszego życia politycznego. Stoimy dziś ubodzy w wielkie imiona, stoimy ubodzy zarówno wobec siebie jak i wobec świata.

Żadne społeczeństwo, żaden naród nie może żyć bez autorytetów żyjących i działających. My zaś uznajemy autorytet naszych wybitnych ludzi tylko po ich śmierci.

Ambicje nasze nie są twórczymi, nie są skierowane w stronę czynu, chęci stworzenia czegoś wielkiego osobiście i przysłużenia się krajowi, lecz są raczej tylko lękiem, by broń Boże ktoś czegoś wielkiego nie stworzył. I najłatwiej zespolić najbardziej daleko stojących od siebie ludzi solidarnością tego uczucia zawiści czy lęku na drodze przeszkadzania każdemu, kto chce coś stworzyć większego czy mniejszego.

I trzeba mieć dość wyrozumiałości, pogody ducha i wytrwałości, by pozostać na stanowisku, doprowadzić do końca zakreślony plan pracy.

Nic też dziwnego, że dziś, gdy o człowieka z wolą i autorytetem Polska woła, milczenie głuche odpowiada!

Lecz czyż zawsze tak będzie? Nie, potrzykroć nie. Historia się nie powtarza. Naród zdobył wole zbiorową i dźwignię, pochylony pod ciężarem wypadków nasz gmach państwowy.

Aleksander Lednicki.

Nowy Gabinet.

A więc mamy gabinet pozaparlamentarny, niby urzędniczy, który pewne koła lewicowo-centrowe przeciwstawiały koncepcji prawicowo-centrowo-parlamentarnej.

Nowy gabinet jest właściwie także gabinetem parlamentarnym, mającym za sobą pewną większość wstydliwą. Mówię wstydliwą, gdyż część stronnictw, wypowiadających się za gabinetem tym robiła to usprawiedliwiając się z tego wstydliwie, powołując się na to, że gabinet parlamentarny jest jakoby niemożliwy.

Koncepcja gabinetu urzędniczego, nie opierającego się na większości parlamentarnej, w Republice jest koncepcją naiwną, nie mającą szans realizacji. Wprawdzie w Stanach Zjednoczonych A. P. ministerstwo jest odpowiedzialne tylko przed Prezydentem, ale tam: 1) Prezydent wychodzi z partii politycznej, mającej większość w zgromadzeniu specjalnym wybierającym go i skutkiem tego rządu właściwie Prezydent, a nie jakiś Urzędniczy Gabinet; 2) Ministrowie działają w ścisłym porozumieniu z Komitetami Parlamentu, co łagodzi bardzo system rządów nieparlamentarnych; 3) Wreszcie na wyższe stanowiska Prezydent powołuje osobistości różne, w porozumieniu z Senatem. U nas tego wszystkiego niema i gabinet urzędniczy nlemający oparcia w większości sejmowej nie miałby faktycznej sily.

Teraz co do składu gabinetu. Jakkolwiek posiada on kilku ludzi niewątpliwie pożytecznych, to jednak ludzie ci mogliby się znaleźć i w innym Gabinetcie. Wadą natomiast zasadniczą jest to, że nie posiada on żadnej koncepcji politycznej, nawet w sprawie skarbowej. Wiemy tylko, że ma

Parę słów o dzisiejszej twórczości.

Więcej może wypowiedziano refleksji o dzisiejszej twórczości i jej przyszłych możliwościach, niż czasy nasze zdołały tej twórczości z siebie wykrzesać. Wszystkie współczesne produkcje, tak wyrazy żywej sily, jak i ryzykowne łamańce, roszczą pretensje, że są sztandarowe, noszą znak rodzącej się w bólach powojennych epoki. Jest w tem błąd optyczny tak jawny, iż nie wiem, jaki przypadek może go przed spojrzem maskować.

Data narodzin wszelkich dzisiejszych kierunków i obozów jest przedwojenna; krótkie parolecie powojenne — a nikt mu z tego nie powinien czynić zarzutów—jest dotąd artystycznie bezgłose. Futuryzm, ekspresjonizm, kubizm wyglądały już z galerji, wystaw i wydawnictw przed rokiem 14-ym. Tak samo pierwsze jaskółki romantyzmu: Ossjan, Heloiza, Werter zjawily się jeszcze przed wielką rewolucją. Że wojna i płynąca z jej wstrząśnienia przebudowa ziemi znajdzie swój artystyczny wyraz, wątpić nie można, atoli to, co widzimy dzisiaj, to twórca powierzchnia Europy przedkaktaklizmowej, zresztą dobrze przystająca do zubożalej psychiki dnia naszego.

W powietrzu wojna była już od lat kilkunastu. Społecznie i politycznie podważało się budowy państwowe. I sztuka dość już dawno stała się rewolucyjna, buntowała się przeciw własnemu tworzyw. Plastyka nihilowała, „rozpuszczała” kształt, muzyka przeciwnie szukała kształtu, bryły, jeżeli tak określić można, chciała się włożyć w przestrzenność. Poezja w danym razie szła więcej za tendencją współczesnej plastyki: znosiła w sobie najprzód przestrzenność — i tu była w zgodzie z całą epoką.

Doskonale powiedziano kiedyś, że znamieniem stulecia naszego jest walka z przestrzenią, polikanie przestrzeni. Od dnia, w którym pierwsza lokomotywa zagwizdała na kuli ziemskiej, zaczął się ów proces skrót; zatrzymował ostatecznie z pierwszym furkotem samolotu. Ale sztuka nie zatrzymała się na akompaniowaniu ogólnemu tętnu życia nowoczesnego. Jako swój objaw szczególny, wzięła sobie skrót czasu — migawkę (kalejdoskop-kinematograf). W poezji całość przestrzenności — epika i czasowa — dramat, zaczęły paczyć się lub zalewać liryką, która jest najbardziej sprowadzona do momentu, najkrócej oddechowa. Takie z lirycznieniem epiki jako drogowskaz dał u nas już dość dawno Zeromski.

„Tydzień Polski“ drukował przed paroma mie-

powstać jakaś Rada Finansowa, która chciałaby się uniezależnić od Sejmu, co jej się jednak prawdopodobnie nie uda.

Będzie to niezawodnie słaby rząd, niezdolny do przeciwstawienia się żywiołom antypaństwowym.

Będzie to rząd Pana Skulskiego, bez formalnego jego w nim udziału. Nowy rząd nie jest niczem innym, jak rekonstrukcją dawnego z tą różnicą, że osoba prezesa gabinetu jest inną.

Koncepcja rządu niby urzędniczego wysunięta została dlatego, aby ułatwić pewnym osobom i stronnictwom wywierać wpływ na nowy rząd po cichu.

Rząd ten zapewne będzie krótkotrwałym i upadnie przy omawianiu pierwszej ważniejszej sprawy w Sejmie. P. Ponikowski oświadczył przecie, że nie chce tworzyć rządu, nieopierającego się na większości i że liczy na większość niestalą, a więc od wypadku do wypadku.

Rząd mający oparcie od wypadku do wypadku, nie będzie mógł nas wyciągnąć z błota.

Niedaleka przyszłość to pokaże.

Ludwik Kulczycki.

Samobójcy.

„Przesilenie gabinetowe skończyło się. Czy na długo?”

Z powodu ostatniego przesilenia „Czas” czyni następującą uwagę:

„Przesilenia gabinetowe w Polsce zaczynają nabierać pewnego stałego, sobie tylko właściwego charakteru. Pierwszą ich cechą jest to, że bezpośrednio

przyczyną ustąpienia rządu bywa przesyt nierządzeniem (rząd u nas bowiem nie rządzi). Rząd szarpany i to najczęściej osobiście, mówi sobie w pewnej chwili: „mam tego dosyć” i podaje się do dymisji. Nie przypominamy sobie, aby jakikolwiek nasz gabinet ustąpił wskutek prawdziwej scysji z sejmem i to rozegranej na jego niekorzyść, aby więc upadł po jakimś zasadniczym głosowaniu, po jakimś programowym zwycięstwie opozycji. Takich scysji u nas nie bywa, bo i nie bywa rządów z własnym, ostro rysującym się programem, któryby starały się przeprowadzić i z którymby stały lub — upadały. I ostatni upadek gabinetu p. Witosą dokonał się w powyżej scharakteryzowany sposób: p. Witos — choć zdawało się, że ma nerwy jak postronki — znużył się dźwiganiem odpowiedzialności bez możności istotnego „rządzenia” i w pewnej chwili dość niespodziewanie — bo po zwycięstwie odniesionem w komisji — rzucił ten ciężar na ziemię. Są samobójstwa z powodu „znużenia życiem”, są i takie same dymisje”.

„Czas” znalazł trafne określenie. Rzeczywiście szereg przesileni gabinetowych u nas to szereg samobójstw. Samobójstwem kończyli nasi pierwsi ministrowie swój romans z władzą, której zdobyć nie mogli, nie zważając na oficjalne z władzą zaręczyny. Tak, władza prawdziwa, władza nad krajem to kochanka, która jeszcze nie oddała się żadnemu z ministrów polskich ani w krawatce, ani bez krawatki. Żaden z nich duszy władzy nie zdobył, żaden tajemnicy rządzenia nie posiadał.

Có tego przyczyną? Czy brak miłości prawdziwej? Czy władza, ta pani dumna, czuje, że nie miłość wielka, ale miłostka drobna i mała ambicja rzuca kolejno kochanków tych w jej objęcia?

Czy wprost już los nieszczęśliwy nie tylko kochanków tych (bo mniejsza już o nich), ale Polaki

siącami interesujące studjum na temat dzisiejszej twórczości, która jest wątła, bowiem nie może wytrzymać konkurencji z życiem, tak szybkim, że trudno za nim nadążyć, a tak pomysłowem. Iż przekracza wszelkie możliwości wyobraźni tworzącej w człowieku. Zdaje mi się, że dopatrzenie się korzeni wszystkich najnowszych objawów twórczych w epoce przedwojennej niweczy słusność tej uwagi. Szybkość faktycznie jest, ale nie przez raptowność i, powiedzmy, „lawinowość” wypadków wojennych. Jest, bo jest w psychice dzisiejszego człowieka, pana stu narzędzi, które obok nieskończonych innych przykładów i poczynaniom militarnym mogły nadać zawrotne tempo.

Kopalnia motywów wojennych, poza piosenkarstwem żołnierskim i patriotycznym, które z dziejowych perspektyw twórczości jest literackim szczebiotem, czeka na swój miesięczny głos, tak jak czeka na spiz w poezji wielkie zmartwychwstanie Polski. Na rok 1812 patrzył pacholećmi oczyma Adam Mickiewicz w Nowogródku; rok 1812 stał się epopeją narodową w czwartym dziesiątku dziewiętnastego stulecia. Tak będzie i teraz. Tymczasem twórczość społeczeństwa początku dwudziestego wieku, społeczeństwa nurtowanego przez żywiołową potrzebę przebudowy, budzi szereg refleksji.

Najpierw owo wspomniane rozbitcie większych kompleksów na bryzgi, a tem samem hegemonia liryki, jako względnie najbardziej „jednokomorowej”. Jeżeli jest jeszcze synteza, — wogóle jest raczej analiza — to jest to synteza a priori, nie a posteriori, synteza pierwszego wrażenia a nie końcowy, zbieżny punkt promieni, konstrukcyjna meta. Kubizm, ekspresjonizm i t. d. kruszą kształt konkretny na ołtarzu kształtu wrażeniowego. Jedna muzyka, jakem napomknęła, uczy się zastęgać plastycznie i to jest właśnie jej dekadentyzm.

Jeżeli w owym sproszkowanym materiale, w owym błyskawicznym kształcie, nawet śród najbardziej zatowizowanej liryki trafi się linja — proces psychiczny, to możemy ją przyrównać do smugi iskier, widzianych z wagonu. Ciągłość nie jest wymiarem samego zjawiska, jest konsekwencją ruchu podmiotu, odbiorcy wrażenia.

Dalej, to samo dokonywa się dziś w twórczości, co w filozofii było za pragmatyzmu: odcięcie wyższej kondygnacji, immanentyzm. Tam immanentyzm myśli w kole zakreślonym promieniem czynu i woli czynnej, tu immanentyzm natchnienia w kręgu, które mierzy średnica życiowych doświadczeń. Jeżeli romantyzm, równoważąc jednostkę ze światem (J. Kleiner), rozciągał jednostkę do rozmiarów świata, dzisiaj zrównanie wygłada

która swój pierwszy żywot *nierządem* skończywszy, od *nierządu* swoje nowe życie po zmartwychwstaniu zaczyna. Lecz czy nie jest to samobójstwem już całego narodu i czy warto było z martwych powstać, by samobójstwem skończyć?

Dziś, gdy wszystkim na pamięć przychodzi naszych przodków przysłowie, że „nierządem Rzeczpospolita stoi“, nie zawadzi przypomnieć, co z powodu tej maksymy nieszczęsnej pisał Stanisław Konarski: „Aleć trzeba być nad wyrażenia wszelkcie nikczemnego rozumu, trzeba wprzód postradać całe naturalnego rozsądku, trzeba być srogiego nad takimi ojczyzny nieszczęściami serca, nad które być większe nie mogą, trzeba być tej matki wyrodkiem, który takim uwierzył maksymom, uczyniwszy nad niemi refleksją, i one przywłaszczył za swoje. Podobnaż to rzecz jest? Zgadzaż się to z zdrowym rozumem zdanie, żeby Polska nierządem stała? Dom prywatny, prywatna familja, wieś, miasteczko; miasto jedno, zawsze nierządem upada. Nikt o tem nie wątpie, wszystko więc nieporządkiem ginie, a Polska jedna nierządem i nieporządkiem stoi?...“

„Że zaś jeszcześmy dotąd tym z gruntu nie spadli nierządem, że nacja jeszcze się nacją trzyma, że Polska jest jeszcze Polską, jedno, że to bardzo jest wielkie i dobrze wkorzenione drzewo, które upaść wmgnieniu oka nie może, ale powoli schnie i na wszystkich ozdobach dosyć widocznie upada“.

Tak pisał największy z publicystów dawnej Polski na dziesięć lat przed pierwszym jej rozbiorem. Rzeczpospolita była wielkiem i dobrze wkorzeniem drzewem, które czasu potrzebowało, aby upaść. Nowe państwo polskie jeszcze nie zdążyło nawet korzeni w ziemi zapuścić, więc jakież los mu teraz nierząd gotuje? Czy nie popełnia samobójstwa naród cały patrząc bezradnie na samobójstwa rządów naszych?

Polska a pomoc dla Rosji.

Polsa przez swego przedstawiciela w Lidze Narodów oświadczyła że „pragnie z całego serca brać udział w wielkiem pięknem dziele niesienia pomocy Rosji“.

Straszne klęski srozające się w Rosji — głód, nędza i choroby — interesują Polskę, — mówił prof. Askenazy, nie tylko ze względów na to, że dla niej istnieje bezpośrednio niebezpieczeństwo zawleczenia wszelkiego rodzaju zarazy, ale i ze względów moralnych, „budząc w niej bardzo głębokie serdeczne współczucie dla nieszczęśliwego sąsiada, dla wielkiego chorego narodu rosyjskiego“.

Ten moment moralny, podkreślony przez prof. Askenazego, przedewszystkiem powinien skupić naszą uwagę. Rzecz oczywista, że Polska znajdująca się w tej chwili jeszcze w nadzwyczaj ciężkiem materialnem położeniu, sama jeszcze obcej pomocy potrzebująca, nie może Rosji okazać znaczniejszej pomocy materialnej. Wydajniejszą może być pomoc organizacyjna, o której dużo się u nas mówi i o której wspominał i prof. Askenazy podkreślając że akcja ratownicza w Rosji wymaga dużej znajomości spraw rosyjskich, a tą znajomość posiadają właśnie Polacy.

„My, Polacy — mówił prof. Askenazy posiadamy — z wyjątkiem samych Rosjan — najlepszą znajomość Rosji, jesteśmy w jej sprawach najlepszymi rzeczoznawcami, znamy jej język, teren i ludzi. Posiadamy ogromną liczbę lekarzy, techników, uczonych i t. d. znających Rosję tyleż co i Polskę. Jesteśmy gotowi całą wiedzę fachową tych ludzi oddać na usługi dzieła niesienia pomocy“.

na zredukowanie światła do rozmiarów człowieka i to człowieka postawionego wyraźnie na ziemi dwudziestego stulecia, przeważnie w centrach dwudziestowiekowej cywilizacji. Romantyzm wprowadził transcendentyzm w widnokrąg życiowy (duchy, zaświat); dzisiejszy immanentyzm jest odwróconą mickiewiczowską romantycznością: ruguje masowo, ruguje więcej, niż dopuszcza, a obciążony olbrzymią połącz przestworza kosmicznego i duchowego, cieniuję, nuansuje na małej reszcie. Tak kubił np. wydobywa na jaw grzbiety, osie, marszczyny w przepływającej dawniej w artystycznej gładkości powierzchni. Rezygnowanie z wielkich płatów dla drobnostek, przypominałoby zejście od wichrowych kłębow barokowych do roccoca, tylko, że dzisiejszej minjatury nie opieszcza się konturem; idzie o co innego, o różnicowanie *ad infinitum* najbliższoplanowego wykrawka istnienia.

Ta sztuka małopowierzchniowa wydaje mi się nadto i dwuwymiarowa tylko, bowiem pion nie jest zasondowany głęboko we wnętrze ludzkie. Naskórkowość, a właściwie podskórkowość jest śledliskiem największej liczby natchnień. Dla nas człowiek, ponieważ w duchu swoim jest zwierciadłem, zdolnym odbić i wchłonąć nieskończoność kosmiczną, sam jest nieskończonością. Dzisiejsza

twórczość przechadza się po południku pomiędzy temi dwiema półkulami absolutu, zewnętrzna i wewnętrzna. Umiłowała przesmyk, wcięty między dwie zatoki zagadki, i na nim rozbiła namioty twórcze, twierdząc, że z jej podskórkowego obserwatorium jest równie daleka perspektywa na nieskończoność świata, jak ducha. „Są to poeci, którzy na migotliwej powierzchni życia znajdują największe głębie“ — mówi Skamander: Niemal skłonna bym była nazwać tę twórczość chciwemi czatami u bram wchodowych zewnętrzności w wewnętrzność, wypowiedziami z pierwszego przystanku wewnętrznego na wielkiej drodze od świata w głąb człowieka.

„Wielka inwazja konkretności i codzienności w życie polskie“ mówi o sobie w dalszym ciągu ten sam Skamander. Tu byłoby miejsce dla nowej uwagi.

Twórczość dzisiejsza nietylko oglądowo czy psychicznie odcina element przestrzenny i czasowy, ona rezygnuje także z konkretnego, historycznego czasu i konkretnej geograficznej przestrzeni. Nie znając linii, nie zna perspektywy oddaleń; jej żywiołem i tworzywem jest moment, który w danej chwili jest rzeczywistością tworzącej jednostki, i dzień, który jest przeżywaną godziną świata i dziejów. Epoka, wprost data dzi-

Tak ludzi dla dzieła pomocy Rosji możemy dać więcej, niż produktów, których zbyt mało mamy. Ale nie łudzmy się—bardzo dużo i ludzi nie mamy, nie przeceniajmy i naszej roli organizacyjnej w akcji ratowniczej w Rosji. Uprzymiarnijmy sobie, że dotychczas jeszcze nie zdołaliśmy zorganizować należycie pomocy naszym własnym rodakom, uchodźcom: to, co się robi w tej dziedzinie wysiłkiem ofiarnym całego szeregu rzlachtetnych jednostek, jest kroplą w morzu nędzy uchodźstwa polskiego, a całe to morze męką ludzką falujące ginie prawie bez śladu w niezmiernym oceanie głodu, nędzy i chorób, który cały obszar Rosji zalewa.

Więc wobec tego bezmiaru cierpień ludzkich, w obliczu śmierci milionów ludzi, dla których niema ratunku, bo umierają już teraz, gdy o pomocy tylko się mówi, powiedzmy sobie otwarcie, że możemy zrobić bardzo mało, prawie nic. Ale to, co możemy zrobić, zrobmy szczerze i chętnie i wówczas ta pomoc prawie nic nie wazająca materialnie, nabierze wielkiej wagi moralnej i zaważy na przyszłych stosunkach obu narodów.

Prof. Askenazy w Lidze Narodów mówiąc, o budzącem się współczuciu Polski dla nieszczęśliwego sąsiada, oświadczył, że Polska nie żywi nienawiści do Rosji. Przed trybunałem narodów, który zagląda nie do duszy narodu, lecz do aktów państwowych i sądzi czyny, a nie myśli i uczucia, taką deklarację z pewnością można było złożyć, ale przed sądem własnego sumienia powtórzyć jej nie moglibyśmy. Że budził się w Polsce współczucie dla cierpień narodu rosyjskiego i że pod wpływem uczucia tego kruszy się w sercu polskiem nienawiść do Rosji, to prawda, ale żeby tej nienawiści już nie było, tego powiedzieć nie można.

Nienawiść ta to—kamień, leżący na sercu polskiem, a kamień ten pozostał ze sklepienia cmentarnego, pod które za życia naród polski włoczono. I nie w szerokich masach ludowych mało uświadomionych i mało dbających i o przeszłość i o przyszłość narodów, lecz właśnie w warstwie kierowniczej narodu, w inteligencji reprezentującej opinię i sumienie narodu nienawiść ta wspomnieniem o krzywdach doznanych karmiona szczególnie jest silną.

I dopiero dziś, gdy w całej groźbie swej stanął przed oczyma wstrząsający obraz milionów na śmierć głodową skazanych, kruszy się nienawiść i w sercach najwięcej nieprzejednanych nawet budzi się współczucie, o którym mówi prof. Askenazy.

W czynnem współczuciu, w chęci niesienia pomocy nieszczęśliwemu narodowi rosyjskiemu uwalnia się serce polskie od tego kamienia, który swym ciężarem o latach ucisku i niewoli przypomina.

Ale cóż, realnie tę sprawę biorąc, Polska może dla głodnej Rosji uczynić? Chodzi nie tylko o to, co dać, ale jak dać, jak zrobić, aby to, co dla głodnych jest przeznaczonem, rzeczywiście do głodnych doszło, a nie zostało obróconem na rzecz armji czerwonej i czerezwyczałek, to jest na utrzymanie rządu sowieków?

Słusznie pisze „Temps“ w artykule „Sowiety a pomoc dla Rosji“ (w numerze z dnia 12/IX). „Pomoc cierpiącej głód ludności rosyjskiej jest obowiązkiem ludzkości, od którego nikt nie myśli uchylać się, lecz popełniono by prawdziwą zbrodnię wobec narodu rosyjskiego, gdyby pozwolono pomoc tę wyzyskać sowiekom dla wzmocnienia swych chwalebnych rządów i dla narzucenia narodowi jeszcze cięższego jarzma przy pomocy sprzedaj-

slejsza, stoi w tych dziełach sama sobą, zadawała się toba, wystarcza sobie, kocha się sama w sobie; jest to pewien karykaturalny narcyzym.

Epoki wielkie, epoki szczytów ducha i dziejów, odchodziły właśnie jak najdalej od kamieńca swojej codzienności, i rzeczywistych, lubo sławnych wydarzeń. Cudowna Grecja wieku piątego w natchnieniach tragików cofnęła się po Homera i w swoje przeddzieje; odrodzenie szło do starożytności, romantyzm do średniowiecza; nasza epoka twórczo przygwoździła się do samej siebie. Prawda, możnaby, jakby się zdawało, patrzeć w dzień dzisiejszy z dwu stanowisk: w bólu z powodu zamknięcia się całego rozdziału świata, i w radości z powodu nieogarnionych dróg dla tego świata na jutro. Wtedy to kłębowski chuci, niskich pogoni, opętańczych rzutów mogłoby się artystycznie zmroczyć żalobą, albo opłynąć jutrenkową bielą nadziei. Ale nasza twórczość od żadnego z tych dwu skrzydeł nie patrzy, skrzydła odcięła, bo nie zna linii—i wbiła się *con amore*, bezinteresownie w samo przeżycie dzisiejsze, w zgęstnienie samego przeżycia, tak podmiotowo, jak społecznie — i tyle.

Może być, że mimo to, jesteśmy w epoce nowego prerafaellizmu, w wilgę nieprzewidzianego odrodzenia, że mamy przed sobą jakieś prymi-

tywy. Czego?—dziś określić nie podobna; jedno pewne, że to prymitywy *a rebours*. Wtedy była ubożyzna środków na służbie niebotycznej treści, dziś jest—lub bywa — maestrja środków, która jest zdolna pozwolić sobie na sztuczną prostotę. Prymitywność tkwi tu w elementarności treści. w braniu jej tuż z pod ręki, z przedmiotów użytkowych (*sui generis* pragmatyzm artystyczny), lub przeoczanych dotąd dla swej nikłości przez idące za pięknem spojrzenia. W prymitywie trecenta duch dociągał się dziecięcym wysiłkiem na ekstazy wyże; dzisiaj zaprawiona na najkunsztowniejszych instrumentach ręka zniża się do poziomów pierwotnych odczuć i wyrazów.

Przytem epoka to przerażająco świadoma. Może od czasu racjonalizmu nie było takiej fwrcości nawskroś samowiednej, tylko snop światła nakierowany dziś jest na zupełnie inne okolice. W racjonalizmie jasny intelekt wynosił się ary-stokratycznie nad mętne wyobrażenia; dziś, gdy nawet z tronu samej filozofji, ustami Bergsona rzucono wyrok pośledniości na inteligencję. reflektor artystyczny z predylekcją oświetla wnętrza spraw instynktu i w jaskrawej samowiedzy wydobywa na słońce to, co przez stulecia tuliło się w mrokach, jeżeli nie za — czy podświadomości, to przynajmniej w artystycznej głuszy.

nych bagnetów* To też akcja Nansena, który w porozumieniu z bolszewikami w Moskwie wystąpił z projektem udzielenia kredytów władzy sowieckiej na cele akcji ratowniczej, budzi słuszną nieufność w uświadomionych politycznie kołach społeczeństwa europejskiego. Niezależnie od jakiegokolwiek bądź oceny rządów sowieckich z punktu widzenia politycznego i humanitarnego, zwalczanie głód w Rosji przy pomocy organizacji sowieckiej jest zadaniem zupełnie bezcelowym, gdyż głód jest następstwem gospodarki bolszewickiej. I trzeba być bardzo naiwnym, aby wierzyć zapewnieniom agentów bolszewickich, że obecna kląska Rosji jest spowodowana jednym z tych nieurodzajów, które od czasu do czasu nawiedzały i dawniej Rosję. Niedawno starała się o tem przekonać korespondenta pragskiej gazety żona Gorkija, która pokazywała nawet korespondentowi na udowodnienie swych słów książkę niemiecką o nieurodzajach w Rosji, wydaną jeszcze w r. 1913. Otóż współpracownik pisma czeskiego nie znalazł się odpowiedzieć żonie sympatyka bolszewizmu, że książka, na którą powołuje się, jest najlepszym argumentem przeciw jej tezie. Bo nie zważając na to że nieurodzaje straszliwe, jak w latach 1871 i 1891, nawiedzały Rosję, jednakże wówczas miliony ludzi z głodu nie umierały i Rosja nie była zmuszoną zwracać się do świata całego z wołaniem o pomoc, bo mogła sama przy udziale organizacji społecznych, korzystając z zapasów poprzednich lat i ze zbiorów miejscowości nietkniętych nierodzajem, nieść pomoc ludności głodnych gubernji. Dziś Rosja nie może tego uczynić bo, popierwsze, zboża absolutny brak wskutek tego, że pola wszędzie, nawet w tych guberniach, które susza nie nawiedziła, nie były obsiane, jak daw-

niej, bo, podrugie nie ma zapasów z dawnych lat, i nakoniec nie ma żadnej wzbudzającej zaufania organizacji społecznej, która mogła by pomoc głodnym zorganizować.

Kiedy inteligencja rosyjska (właściwie jej resztki niedobite) wzorem dawnych lat chciała zorganizować pomoc głodnym, rząd sowietów początkowo zgodził się na utworzenie w Moskwie społecznego komitetu pomocy głodnym, ale po dwu tygodniach nie tylko ten komitet rozwiązał, ale członków jego aresztował, a kilku z nich nawet, jak donoszą ostatnie depesze, skazał na rostrzelanie.

Historja z moskiewskim komitetem pomocy głodnym w znacznej mierze ostudziła zapał tych, którzy chcieli spieszyć z pomocą nieszczęśliwemu narodowi rosyjskiemu. Ostudza ten zapał i odpowiedź Cziczerina na propozycję utworzonej z ramienia Rady Najwyższej Komisji Międzynarodowej, która chciała wysłać do Rosji delegację dla zbadania sprawy na miejscu. Rząd sowiecki tę propozycję stanowczo odrzucił. Rząd sowietów chce za pośrednictwem Nansena zaciągnąć pod protekstem walki z głodem pożyczkę, która pozwoliła by mu utrwalić na jakiś czas swoją władzę.

Na to zapewne ani rządy europejskie, ani społeczeństwo zgodzić się nie mogą. Ale z drugiej strony nie może ludzkość patrzeć obojętnie na to, jak z głodu umierają miliony ludzi. Więc ludzkość szuka wyjścia z tego położenia, szuka dróg do pomożenia Rosji.

Dotychczas drogę praktycznie prowadzącą do celu znalazła tylko organizacja Hoovera. I najlepsze, co Polska może uczynić w tej sprawie, to przyłączyć się do akcji Amerykańskiej Administracji Pomocy, która już rozpoczęła swe dzieło w Rosji.

Jednak ta świadoma epoka nie zna swojej już trzejszej drogi, punktu dojścia ze swoich dzisiejszych wyruszeń. Jak to być może? Czy dlatego tylko, że nie zna linii i ciągów, że rośnie się z punktem, z momentem? Powtarzam, od czego zaczęłam: ten duch nie jest wyrazem dzisiejszym, jest puścizną epoki odeszłej: ta twórczość ma charakter schyłkowy. Jest protestem. Jest świadomem burzeniem, znoszeniem; nie jest budowaniem *ab nihilo*, nie jest nowatorstwem, jakie będzie po wieki chwałą Greków, a nawet owych ludów bez kultury, którą rozwalili starożytność. To jest też jeden z ważniejszych rysów jej oblicza.

Duch przesuwając swoje skazówki świadomie lub nieświadomie. Nieświadomie zrodziła się sztuka grecka, żywołowo wyszła ludzkość na jasne odrodzenie. Świadomy bardziej był barok, a świadomy naskroś pseudoklasycyzm, świadomy także w dużej mierze romantyzm, zwłaszcza w Niemczech. Nie wybucha wtedy duch—pisze się program, wyraz pewnej woli.

Otóż nasza epoka nie zrywa się twórczo z nowym płomieniem; szuka sobie wyrazu, a uznając, że go znalazła, świadomie, nakazem niemal go wprowadza. Nie rośnie od korzenia, jest antytetyczna. Takim był i romantyzm w stosunku do pseudo-klasycyzmu, tylko, że on był silny kotwicami, rzuconymi o brzegi minione, szedł jak kometa smugą światła przez pół nieba, dzięki

perspektywom swoim dziejowym, dzięki umiłowaniom swojszczyzny (średnie wieki, legendy, ludowość). Na tle romantyzmu jeszcze więcej uderza, jak dalece nasza epoka jest aperspektywiczna. bez duchowych w dziejach patronów, w przyszłości bez niebieskich przewodniczek łodzi.

I dlatego, stojąc dzisiaj przed otwartymi po kataklizmie wojennym a jednak ciemnymi drzwiami nowych epok, nie ku twórczości naszej zwracamy pytające o jutro oczy. My, żyjący, my branzresztą dzisiaj więcej niż jako jednostki, jako masa, która samą wagą swoją tłoczy i pcha wóz wypałów, my dziś bliżsi jesteśmy tętna, bo samo życie jest dziś motorem. Duch—spóźniony—zrezygnował dobrowolnie ze zwiastuństwa, wpatrzywszy się w życie, zakochawszy się w życiu. —niestety, w tak mało dziś budującym, w takim owdowiałem po ideałach życiu;—tem samym zdał się na jego przewodnictwo, idzie za nim posłuszny. A jednak wierzę, chcę wierzyć, że jest to tylko chwila odrętwienia, może chwila snu obrzymia. Jutro porwie się, bo porwać się musi. A wtedy w wizjach tego, który dziś może dlecić okiem, jak Mickiewicz, na pochod wielkiej armii, patrzy na zmagania się Anteusza ludzkości, rozwidnią się nam nagle jutrzejsze drogi i stanemy znowu w zrozumieniu przyszłych przeznaczeń ziemi. Tego dnia czekamy wszyscy utęsknieni.

Julia Dicksteinówna.

Tak też i uchwalił utworzony w Warszawie Polski Komitet Pomocy ofiarom głodu w Rosji.

Ale powstaje pytanie, co może Polska dać tak potężnej organizacji jak organizacja Hoovera, z której pomocy Polska sama korzysta?

Otóż przede wszystkim Polska, jak się już wyżej mówiło, może dać ludzi potrzebnych do tej roboty i zadaniem Polskiego Komitetu było by dobrać ludzi odpowiednich. Następnie Polska może dać swój tabor kolejowy, co nie jest tak trudnym, bo Polska posiada duży tabor szerotorowy, który w tej chwili pozostaje bez użycia. A tabor ten mógł by być podwójnie użyteczny: do Rosji pociągi mogły by iść ze zbożem amerykańskim, a do Polski powracać z uchodźcami polskimi. W ten sposób dzieło pomocy Rosji, wypływające z pobudek czystego altruizmu, łączyło by się z dziełem ratowania naszych rodaków, co już jest naszym elementarnym obowiązkiem.

Jest jeszcze jedna droga, którą Polska może przyjść z pomocą Rosji i na nią też wskazał profesor Askenazy, mówiąc o tych uchodźcach rosyjskich, którzy w Polsce przytułek znaleźli. Tułacze ci z rozbitego statku rosyjskiego na brzeg polski wyrzuceni, to — też mała część wielkiej Rosji głodującej. Są prawda wśród nich ludzie zabezpieczeni, ale to mniejszość znikoma, większość jest pozbawioną środków do życia i skazaną na głód. Pomagając im, Polska bierze udział „w wielkiem pięknem dziele niesienia pomocy Rosji“.

Leon Kosłowski.

W sprawie podniesienia przemysłu w Polsce.

(Dokończenie).

Istnieją dwa systemy udzielania patentów: jeden francuski czyli system *zgłoszenia*, drugi angielsko-amerykański, szczególnie wydoskonalony w Niemczech, system *badania*. System francuski zasadza się na tem, że ustawa oznacza wprawdzie warunki, pod którymi o patent starać się można, ale władza udzielająca patent nie bada, czy wszystkie warunki ustawowe, a przede wszystkim warunek nowości wynalazku w danym przypadku istnieje. Kto poda o patent i określi w podaniu w sposób jasny przedmiot, będący albo wyrobem przemysłowym, albo jego ulepszeniem, albo wreszcie samą produkcją, ten otrzymuje bez dalszego badania patent. Patent udziela się więc na odpowiedzialność proszącego, sans garantie du gouvernement, a kontrolę nad warunkami ustawowymi oddaje się całemu społeczeństwu. Każdemu bowiem służy prawo do wniesienia skargi o nieważność patentu (*actio popularis*). Jeżeli powód w procesie ulegnie, musi si kosztu procesu zapłacić oskarżonemu. Jeżeli zaś pozwany, t. j. właścicielowi patentu, udowodni, że jego patent nie ma podstawy prawnej, wówczas pozwany nietylko musi zwrócić kosztu procesu lub raczej procesów, bo bardzo często kilku odrazu proces prowadzi, ale nadto wynagrodzić szkodę tym, których w wykonywaniu

wolnego przemysłu niepokoił; a szkoda taka wynosi nieraz sumy olbrzymie.

Aby drogi procesu kosztownego o ile możliwości uniknąć, wprowadziły niektóre ustawy t. zw. postępowanie wywoławcze. Zasadza się ono na tem, że urząd patentowy ogłasza przedmiot do patentowania zgłoszony w osobnym na ten cel utrzymywanem piśmie patentowem i wzywa wszystkich, komu na tem zależy, do wniesienia t. zw. zarzutów uzasadnionych. Podstawę zarzutów bada następnie i udziela lub nie udziela patentu.

Na podstawie systemu amerykańsko-niemieckiego, urząd patentowy bada każde zgłoszenie w sposób nader skrupulatny, posługując się w tym celu szperaniem w wielkich technicznych bibliotekach, i udziela patentu dopiero wtedy, gdy może wynalazek uznać za nowy. System ten wymaga olbrzymiego aparatu urzędniczego, a mimo to, jak doświadczenie okazało, nie daje gwarancji należytej, że patent chroni prawdziwy wynalazek. Dobrą stroną tego systemu jest, że patent, jako taki, ma zwyczajnie większą wartość i nie bywa używany, jak to przy systemie francuskim niejednokrotnie się zdarza, w celach reklamy lub chwilowego zaniepokojenia konkurencyjnych przedsiębiorstw.

Polska obrała system amerykański, ukształtowany w takich przepisach, jakie wyrobiły się w Niemczech. Piękną była pobudka tego wyboru: „Przyjmujemy, co najlepsze“. W wielkim świecie przemysłowym patenty niemieckie miały najlepszą sławę, a Urząd patentowy w Berlinie uchodził za wzór godny naśladowania — co nawet uznawano we Francji. Ale ci, co pod takim hasłem za gabinetu Moraczewskiego narzucili Polsce wzory niemieckie, byli idealistami, doktrynerami — nazwijmy ich marzycielami, gdyż jak Filareci chcieli mierzyć „siłę na zamiary“ a nie „zamiar podług sił“. Zapomnieli, a może nie wiedzieli, że w Polsce jest znawców praw i spraw patentowych, tylu, iż ich na palcach jednej ręki policzyć można, a mimo to postanowili stworzyć aparat, jak w Berlinie, ze stu przeszło pierwszorzędnych technikami, z kilkudziesięciu w prawie patentowem wyszkolonymi prawnikami, z biblioteką obejmującą miliony technicznych i prawnych dzieł, i podyktowali Polsce ustawy na taki olbrzymi obliczone aparat. I co się stało? Stało się to, co się stać musiało: Urząd patentowy liczy wprawdzie kilkudziesięciu funkcjonariuszów, ale nie ruszył jeszcze z miejsca — nie udzielił żadnego patentu, choć kilka tysięcy wynalazków zgłoszono, nie zarejestrował żadnego wzoru ani modelu. Jest, jak wspomniałem wyżej, organem martwym a kosztownym. Zupełna dysproporcja między przepisami ustawy a środkami na ich urzeczywistnienie przypomina tego chłopczyka, na którego wdziano żelazną zbroję teutońskiego siłacza: Chłopiec nie mógł postąpić nawet o krok naprzód. Gdy mu jednak wdziano lekkie ubranie, biegł szybciej, niż olbrzym, a kto wie, czy więcej od niego nie dokonał.

Cóż stąd za wniosek: Trzeba w administracji patentowej nie dążyć do programu maksymalnego, nie naśladować Niemców, a zadowolić się systemem francuskim, choćby nieco na podstawie doświadczeń amerykańsko-niemieckich ulepszo-

nym, a wtedy przy sprawnej organizacji tych sił urzędniczych, na jakie nas stać, Urząd patentowy podola zadaniu.

I tu znowu pokazuje się, że *le meilleur* bywa często *l'ennemi du bon*, iż nasi politycy i bu-downiczny Państwa Polskiego nie powinni ścigać ideałów niedoścignionych, a liczyć się wleceją z warunkami realnymi i odpowiednio do nich układać ustawy i myśleć o ich wykonaniu. Nie zaszkodzi im przypomnieć tej nauki, jaką wielki *Corneille* wypowiedział w swym *Cinna*:

*J'ose dire, seigneur, que par tous les climats
Ne sont pas bien reçus toutes sortes d'Etats.
Chaque peuple a le sien conforme à sa nature,
Qu'on ne saurait changer sans lui faire une injure:
Telle est la loi du ciel, dont la sagesse équité
Sème dans l'univers cette diversité.*

Oto jedno hasło, które przyświecać winno naszemu Ustawodawcy przy zamierzonej reformie prawa patentowego. Drugie, na które pragnę zwrócić uwagę, wynika także z liczenia się realnego z naszymi stosunkami.

My, Polacy, jesteśmy w dziedzinie twórczości przemysłowej społeczeństwem naogół biernym. Któż więc będzie przeważnie uzyskiwał patenty wartościowe? Oczywiście cudzoziemcy: Francuzi, Anglicy, Amerykanie, Niemcy i t. d. Oni będą pobierali wielkie premje wynalazców. Nie bez powodu zatem państwa sprzymierzone nałożyły na nas obowiązki, że musimy wprowadzić u siebie ochronę patentów, wzorów i modeli i przystąpić do roku do międzynarodowych Traktatów paryskiego i waszyngtońskiego, zapewniających ochronę międzynarodową obcym twórcom. Monopole obcym udzielane mogłyby nasz rodzimy przemysł uczynić niezdolnym do współzawodnictwa, a budzące się jego pędy dusić w zarodku. Z niebezpieczeństwem takim powinien liczyć się przeczorny ustawodawca polski i ustawę tak ułożyć, żeby ona nie tylko nie groziła naszemu przemysłowi rodzimemu, lecz i owszem, by stała się źródłem jego budzenia się i rozwoju. A rzecz to stosunkowo łatwa. Historia polityki patentowej może tu być dobrą nauczycielką, zaś nauka płynie tym razem z Niemiec, a raczej z Prus—z historii ustawodawstwa patentowego wieku XIX.

Prusacy mianowicie z zazdrością patrzyli na wielki przemysł francuski i angielski, z którym nie mogli nawet mierzyć się w pierwszej połowie wieku XIX-go. I użyli właśnie patentów, aby przeszczerzyć wielką przemysłową zagraniczną do siebie—przez następujący środek: Z nadzwyczajnym ułatwieniem, bez trudności i szykan biurokratycznych udzielali każdemu cudzoziemcowi patenty na wynalazki, ale potem z bezwzględnością właściwą sobie kasowali na podstawie ustawy każdy zagraniczny patent, jeżeli obcy wynalazca nie wykonywał wynalazku w Prusiech, jeżeli nie zakładał w kraju fabryk, lub nie wprowadzał w istniejących fabrykach swego wynalazku, a wytwory opatentowane sprowadzał z zagranicy. Myślą ich polityki handlowej było: „Dajemy ci, cudzoziemcze, patent, a z nim wielkie korzyści, ale musisz

za to wynalazek Twój u nas wykonywać, w fabrykach tutejszych, żeby przez to rozwijał się nasz przemysł twój kapitał i twój pomysł może u nas zarabiać, ale z pomocą naszej pracy—a nie przez import zagraniczny“.

Taką politykę przemysłową i handlową powinniśmy także wprowadzić z całą stanowczością i energią do naszych ustaw; powinniśmy zaważać bezwzględny przymus wykonywania w Polsce każdego patentu i każdego wzoru i modelu zarejestrowanego przymus wykonywania w rozciągłości odpowiadającej zapotrzebowaniu wewnętrznemu—pod grozą natychmiastowego umorzenia prawa. Oczywiście nie wystarczą najsilniej zredagowane przepisy ustawowe, jeżeli nie będzie zapewnione należyte i bezwzględne ich stosowanie. Nad wykonaniem takich dobrze zredagowanych przepisów czuwać musi sprawny, dobrze zorganizowany aparat Urzędu patentowego—urzędnicy, nie ulegający szkodliwej dla dobra publicznego pobłażliwości lub pozornie dobrotliwej a właściwie safandulskiej miękkości słowiańskiej.

Jeżeli na taką drogę, jedynie właściwą, wstąpimy, obce monopole przemysłowe nie tylko nie będą przeszkadzać rodzimemu przemysłowi, ale raczej staną się tym obornikiem, tym nawozem sztucznym, z pomocą którego przemysł rodzimy bujnie rozwinie się, jak się rozwinęła w wieku XIX w Niemczech, względnie w Prusiech, industria, zapłodniona przez kapitały i myśli Francuzów, Anglików, Amerykanów i innych przodowników w zakresie twórczości przemysłowej.

Taka droga prowadziłaby także szlakami genialnych myśli naszego Kazimierza Wielkiego, który w XIV-wieku widząc, że Polacy nie mają zdolności zakładania miast i rozwijania w nich przemysłu i handlu, zachęcał cudzoziemców do osiedlania się w Polsce, dając im bardzo daleko idące przywileje średniowieczne immunitety. Cudzoziemcy przybywali, zakładali miasta, wnosili swe kapitały, doświadczenie i spryt, z obcego żywiołu stawali się z czasem dobrymi obywatelami Polski, a Ojczyzna rosła i potężniała w bogactwo.

Fryderyk Zoll.

Imperjum brytańskie.

W całej polityce międzynarodowej niema kwestji, któraby pod względem wagi oraz rozległości dorównywała sprawie konsolidacji imperjum brytańskiego. Za bezpośredni obiekt ma przestrzeń około czwartej części lądu ziemskiego, pośrednio dotyka wszystkich niemal zagadnień, interesów międzynarodowych—tworzy prawdziwy punkt centralny polityki światowej.

Na początku a nawet w połowie zeszłego stulecia sprawa ta prawie nie istniała. Kolonje, czy jak się mówi dzisiaj, dominja Wielkiej Brytanji, ożywiały jej handel zamorski, lecz nie tworzyły podstawy jej systemu politycznego. Jeszcze za gabinetu lorda Russela (1846—52) przeważała w Anglii opinja, że kolonje są to owoce, które tylko tak długo wiszą na gałęziach metropolji, aż dojrzeją. Atoli powyższa perspektywa nie przerażała ówczesnych wolnohandlowych polityków. Kolonje nie zdradzały jeszcze objawów dojrzało-

ści państwowej, a ówczesna konjunktura ekonomiczna pozwalała Anglii panować pod hasłem wolnego handlu nad Europą, nad całym światem. Co zaś do politycznego i militarnego współdziałania kolonji z metropolją, to o niczem podobnem nie było wówczas mowy. W swych wojnach i wyprawach zamorskich Anglja opierała się na własnych siłach i niczego nie żądała od kolonji. Oczywiście też nie miała potrzeby pytać o ich zdanie w kwestjach polityki zagranicznej.

Ten stan rzeczy uległ widocznej zmianie w ostatnich dziesięcioleciach zeszłego wieku. Dawniejsze kolonie rozwinęły się, powiększyły swą ludność i zamożność, zmieniły się w samodzielne państwa, które zaczęły żyć politycznym życiem. Zbliżał się dla nich czas dojrzałości, w którym dawna apolityczna egzystencja pod opiekunictwem skrzydłami metropolji stawała się anachronizmem. Wypływała stąd konieczność albo oderwania się od metropolji, albo ułożenia z nią całkiem innych stosunków.

Długie lata samorządu i poprawnych stosunków z metropolją na podłożu wspólności rasowej, językowej i kulturalnej stworzyły w kolonjach znaczny kapitał moralny, który dałby się użyć na rzecz imperjum brytańskiego. Zrodziło się mniemanie, że ludności kolonialne są to właściwie odłamy „wielkiego narodu brytańskiego”, z tej i z tamtej strony morza, że przeto nie powinno być mowy o rozluźnieniu lub zerwaniu łączących je węzłów, lecz raczej o zacieśnieniu ich, o zjednoczeniu panbrytańskiem. Do szeregu zjednoczeń narodowościowych, jakich dokonał wiek 19-y, przybyłoby nowe najwspanialsze światowe zjednoczenie szeregów anglo-saskich, podających sobie ręce przez całą szerokość oceanów.

Szermierz imperjalizmu na schyłku zeszłego wieku, głośny Józef Chamberlain, wskazując na wzrost tego poczucia łączności, stwierdzał wszakże, że samo ono nie wystarcza, że potrzeba instytucji, wcielających jedność imperjalną, że w braku tych ostatnich owa jedność jest tak słaba, że „lada podmuch może ją rozerwać”. Agitacja Chamberlaina zmierzała do złączenia wszystkich posiadłości brytańskich swego rodzaju unją celną; metropolja miała dostarczać kolonjom wytworów przemysłowych, wzamian otrzymywać od nich żywność i surowce, cały zaś ów obszar wyמיenny miał być oddzielony od pozostałego świata wysoką barjerą celną. Prócz tego Chamberlain domagał się utworzenia naczelnych dla całego imperjum władz militarnych i politycznych.

Projekty te nie doszły do skutku. Związek celny, w którego obronie Chamberlain rozwijał najżywszą agitację, rozbił się o przeważną opozycję w samej Anglii, o jej tradycje wolnohandlowe i obiektywne warunki jej dynamiki ekonomicznej. Chamberlain upadł ze swym planem i jak się zdaje, żaden z wybitnych polityków nie zamierza podjąć go ponownie.

Jednakże idea imperjum brytańskiego nie upadła. Rozwijała się ona na innej drodze i jeszcze za rządów Chamberlaina okazała jawny dowód swej żywotności. Wybuchła wojna z republikami boerskimi. Na wezwanie rządu londyńskiego kolonie brytańskie pośpieszyły z czynną pomocą. Nie było precedensów tego rodzaju w dawniejszej historii Anglii. Żadna z autonomi-

cznych kolonji brytańskich nie brała dotąd udziału w przedsięwzięciach zbrojnych metropolji. Tym razem wagę ich wystąpienia zbrojnego podnosił jeszcze fakt, że wojna przeciw Boerom miała wszelkie cechy wyprawy zaborczej i w samej Anglii znajdowała wielu przeciwników. Jednakże na teatr południowo-afrykański pospieszyły liczne oddziały australijskie, nowo-zelandzkie oraz kanadyjskie i okazały metropolji nader wydatną pomoc w obaleniu republik boerskich i ugruntowaniu w tej części świata panowania angielskiego.

Już wówczas wystąpił znamienity objaw, który stanowił niejako zapowiedź dzisiejszych stosunków. Wkrótce po ukończeniu wojny boerskiej zebrała się w Londynie konferencja premierów kolonialnych. Oczekiwano po niej wielkich a konkretnych rezultatów. Skoro kolonie przez dobrowolny udział w wojnie złożyły tak wymowne świadectwo solidarności z Anglią, to zapewne konferencja będzie wielkim krokiem na wspólnej drodze... Otóż konferencja sprawiła zawód; jej konkretne wyniki były mniej niż skromne i nie posunęły wcale budowy imperjum.

Przyszła wszakże wojna światowa i okazało się, że ta budowa nie jest bynajmniej fikcją. Według Lloyda George'a, dominja (oprócz Indji) wysłała na pole walki do dwóch milionów żołnierzy. Biorąc pod uwagę cyfrę odnośnej ludności, niepodobna wątpić, iż pomoc, okazana metropolji była bardzo intensywna.

W związku z wojną doszły do skutku w ostatnich latach dwie konferencje premierów dominjalnych; pierwsza odbyła się w 1917-ym roku, druga — w miesiącach letnich bieżącego roku. Chodziło o rzecz wielkiej wagi, o udział dominjów w brytańskiej polityce zagranicznej. Skoro bowiem te składają na jej rzecz tak wielkie ofiary, muszą domagać się od niej głosu i prawa decyzji. I Anglja nie myśli go im odmawiać.

Oczekiwano, iż w wyniku przeszło dwumiesięcznych narad w Londynie zapadną jakieś postanowienia co do praw i obowiązków dominjów oraz metropolji, jakieś podstawy przyszłej konstytucji imperjum brytańskiego. Wszakże nic podobnego nie doszło do skutku; zebrani premierzy omawiali tylko konkretne kwestje polityki zagranicznej i niektóre inne, lecz bynajmniej nie układali planów konstytucyjnych ani nie dotyczyli zasadniczej sprawy uregulowania stosunków dominjów do metropolji.

Nieprzyjaciele Anglii wyprowadzili stąd konkluzję, że konferencja zrobiła fiasko, gdyż nie przyniosła konkretnych wyników. Zdanie to jest oczywiście powierzchowne i błędne. W posuwaniu największej budowy politycznej świata, jaką niewątpliwie jest imperjum brytańskie, umysłowość angielska trzyma się zdala od wielkich konstrukcyjnych projektów, od wykreślenia linii i ram przyszłego federacyjnego ustroju, lecz kroczy drogą ostrożnego empiryzmu i częściowego porozumienia w sprawach konkretnych. I z tego punktu widzenia, z punktu metody traktowania kwestji, imperjalizm brytański zasługuje na uwagę nie w mniejszym stopniu, co ze względu na skutki w dziedzinie polityki międzynarodowej. Z punktu widzenia europejskich pojęć o państwie i prawie państwowem hasła, idące z dominjów są czemś niebywałem, są herezją i skandalem. Stawiają

one zasady zupełnej równości z metropolją i traktowania wspólnych spraw na mocy porozumienia wolnych i niezależnych jednostek państwowych. Gen. Smuth, premier południowej Afryki, żąda dla swej ojczyzny zupełnej niepodległości... Czy jest to rewolucja przeciw Anglii i negacja związku z nią?

Otóż właśnie, że nie. Imperjalizm brytański niezawodnie może doprowadzić do rozpaczliwej niejedności z profesorów prawa międzynarodowego, atoli sam prowadzi nie do próżni lub ruiny, lecz do wyższych form bytu państwowego. Jest on prawdziwie twórczym i rozwiązuje na drodze stopniowej praktyki takie sprzeczności, które dotychczas uchodziły za antynomie.

T. G.

Irlandja Restituta.

Za czasów nieukoronowanego króla katolickiej Irlandji — Karola Stewarta Parnella, zawzięcie zwalczanego jako protestanta przez politykę Stolicy Świętej, nie tak stosunkowo dawno jeszcze, bo w roku 1885-ym, pisał jeden z gruntowniejszych znawców kwestji Irlandzkiej na Zachodzie, pan Edward Hervé:

„Można przypuścić tylko dwie szanse urzeczywistnienia marzeń Irlandczyków o niepodległości narodowej. O absolutnej niepodległości, o zupełnem rozłączeniu Irlandji z Anglią nie może być mowy; mogłaby tylko nastąpić kombinacja podobna do istniejącej w Austro-Węgrzech. Anglja — ze względu na pewne zawikłania europejskie, na pewne niebezpieczeństwo zewnętrzne, może być zmuszona do konieczności *ustąpienia Irlandji za wszelką cenę*, tak samo jak Austria w podobnej sytuacji — chciała, bądź co bądź, uspokoić Węgry.

Inna jeszcze hipoteza może się nasunąć na myśl: Wielka Brytania zniemiera do tego, by się stać coraz rozleglejszą konfederacją państw prawie niepodległych. Kolonie Ameryki Północnej, australskie oraz inne jeszcze mają parlamenty lokalne i ministrów odpowiedzialnych. Czy nie nastąpi dzień, kiedy dla utrzymania pewnej jedności w tej rozległej monarchji, trzeba będzie postawić ponad wszystkimi parlamentami odpowiedzialnymi jeden parlament wspólny, w którym każdy z nich byłby reprezentowany w oznaczonym stosunku. W ustroju tego rodzaju Irlandja mogłaby być tak traktowaną, jak Kanada lub Nowa Galja na południu, mogłaby mieć swój parlament oddzielny, będąc obok tego reprezentowaną w parlamencie wspólnym. Nie należy przeto tracić nadziei, że nastanie dzień, kiedy na drodze ugodnej zakończy się ta długa walka dwóch krajów, przez naturę do życia wspólnego stworzonych, które jednak wskutek różnicy ras, religji oraz zwyczajów w odwiecznej są rozterce“¹⁾.

Nieomylił się bardzo w swych przewidywaniach Edward Hervé. Aczkolwiek dużo się od

tego czasu zmieniło na świecie, aczkolwiek geografia polityczna uległa wielu zasadniczym zmianom w konfiguracjach terenowych państw i państwów, aczkolwiek do parlamentów „dominjonów“ Kanady i Australji przybyły parlamenty „dominjonum“ republiki Burów w Afryce i „dominjonum“ najstarszego cesarstwa w Indiach Azjatyckich oraz „dominjonum“ Egiptu, zaś idea parlamentu wspólnego przyobiekła się już w realny kształt tegorocznej konferencji prezydentów w Londynie, na której to konferencji Loyd George rozwijał dalekie i bliskie plany włączenia Irlandji w obręb samodzielnej a jednak uzależnionej domeny już nie Anglii, lecz Wielkiej Brytanji — sprawa Irlandzka do chwili obecnej nie jest definitywnie załatwiona. Dlaczego?

Otóż dlatego, iż wbrew przewidywaniom Edwarda Hervé'go właśnie zaczęła być mowa o *absolutnej niepodległości, o zupełnem rozłączeniu Irlandji z Anglią*.

Na dwa lata przed wojną wielką 1914 roku w Downpatrick w Irlandji odrestaurowano Kamienny Krzyż, sięgający jeszcze epoki Celtyckiego panowania na wyspie. Wierzchołek tego krzyża stawał i święcił z ramienia protestantów-unionistów biskup anglikańskiego kościoła, ramiona krzyża, dźwignięte staraniem partji katolickiej w Irlandji, t. zw. narodowców, święcił biskup rzymsko-katolicki, zaś cokół, na którym krzyż postawiono, wzniosły zjednoczone łozę t. zw. organizacji Orańczyków, najbezwzględniejszych przeciwników *Home Rule'u* w Irlandji.

Była to symboliczna uroczystość już nie pamiętam z jakiej racji organizowana, mająca jednak zaświadczyć o tem, że współdziałanie wszystkich mieszkańców obywateli Zielonej Wyspy jest możliwe i pożądane.

Dziś sprawa niepodległości Irlandji nie wiele już ma wspólnego ze sprawą wolności religijnej.

Jeszcze w roku 1912 pisałem z Londynu w artykule p. t. „Rokosz w prowincji Ulster“:

„Sprawa ta jest nadzwyczaj ciekawa, właśnie dla nas, Polaków. Ulster, północną prowincję Irlandji, zamieszkuje w połowie przeszło protestanci, potomkowie szkockich i angielskich kolonistów, sprowadzonych przez *Plantation Policy*, działającą w XVI wieku z ramienia rządu angielskiego²⁾. Ciesząc się specjalną opieką rządu, do niedawna zupełni i wyłączni gospodarze Irlandji, obecnie ustąpić muszą zwolna ale nieodwołalnie interesom 3 milionowej przeszło rdzennej ludności na wyspie. Zaczęło się to jeszcze za czasów Gladstone'a (*Emancipation Bill* 1829 r.), skończy się z chwilą, gdy w Dublinie obradować będzie Sejm Irlandzki.

²⁾ Właściwie *Plantation Policy* stosowano już od wieku XVII od dnia pierwszego podboju wyspy przez Anglo-Sasów. Wszystkie bowiem zarządzenia, czy to Henryka II, czy Elżbiety, czy najstraszliwsze prawa Cromwell'a i łagodniejsze nieco konfiskaty Wilhelma III-go — dążyły do jednego celu, t. j. dla Anglików ma być $\frac{3}{4}$ terytorjum wyspy Irlandzkiej, zaś dla autochtonów, „dzikich Irlyczyków“ — $\frac{1}{4}$ tego terytorjum. Z biegiem czasu „niezniszczalna siła“ gnębnego narodu — opanowała ponownie $\frac{3}{4}$ tego terytorjum, zostawiając Anglikom $\frac{1}{4}$ całej wyspy, bowiem z 4 prowincji Irlandji: Munster, Leinster, Ulster i Connaught — jedynie w Ulster zgrupowali się Anglicy w większej, dominującej liczbie.

¹⁾ „Irlandja od końca wieku XVII do czasów najnowszych“ przez Edw. Hervé. Warszawa, 1886. Wydanie „Wędrowca“, str. 292—293.

Utarło się mylne pojęcie, iż wszyscy Irlandczycy są oddanymi sprawie kościoła katolickiego fanatykami, że zwycięstwo *Home Rule'u* w Irlandji, to zwycięstwo papieża w pierwszej linii.

Tymczasem w urzędach miasta Belfastu, na 3,000 zatrudnionych, z górą 900 jest wyznania rzymsko-katolickiego, a tych 900 w niczem nie ustępuje najzaciętszym wrogom *Home Rule'u*. Natomiast w parlamentarnej frakcji irlandzkich nacjonalistów znajdujemy 10 członków wyznania protestanckiego, dzielnie broniących sprawy *Home Rule'u*. W zarządzie katolickiego Dublina pracuje kilkunastu protestantów, oddanych sprawie *Home Rule'u*. Najciekawsze światło na to delikatne zagadnienie rzuca stosunek papieża Leona XIII do jednego z największych obrońców niezawisłości Irlandji — Parnella. Gdy w roku 1883-im przyjaciele Parnella urządzili zbieranie składek, na wzór już praktykowanej składki dla O'Connella, kiedy ten ostatni był w trudnych warunkach finansowych, duchowieństwo katolickie w Irlandji wzięło i tym razem gorący udział w tej akcji, chociaż Parnell był jak wiadomo protestantem. Jeden z pierwszych podpisał listę składek irlandzki „prymas” arcybiskup Croke. Stolica święta — Rzym Leona XIII-go natychmiast silnie zareagowała na to „mieszanie się kleru irlandzkiego do polityki”. Wprawdzie za czasów O'Connella przed emancypacją katolików tenże sam Rzym stał po stronie polityki w Irlandji przeciwko rządowi w Londynie. Ale wówczas sprawa irlandzka nie była sprawą narodową a tem bardziej sprawą społeczną. Nie chodziło o prawa narodowe, o *Home Rule*, ani też o wolność polityczną i reformę rolną. Tymczasem Parnell był jednym z wielkich reformatorów społecznych, był wielkim działaczem narodowym, ojcem *Home Rule'u* i ojcem Ligi Rolnej, która wydała strejki rolne i bojkot nie tylko w Irlandji.

A więc za czasów Parnella kwestje poruszane między Anglią i Irlandją były kwestjami politycznymi, zagadnieniami nawskroś społecznymi, *nie religijnymi*, uniwersalnie *katolickimi*.

Już na kilka lat przedtem, kiedy Parnell podał się na posła do parlamentu z Cork, biskup tego miasta zabronił swym podwładnym udziału w wyborach, wywołując pierwszy, zdaje się, w XIX stuleciu bunt księży, którzy wbrew zakazowi biskupa głosowali na Parnella, protestanta ale za to najszlachetniejszego patriotę irlandzkiego.

Ale teraz Stolica Święta w chwili owej składki narodowej dla Parnella pospieszyła z najwyższym autorytetem. Nieomal specjalną bullą, bo list odręczny z podpisami prefekta rzymskiego, kardynałów Simeoni i Jacobini, sekretarza propagandy wiary, przesłano duchowieństwu irlandzkiemu, zakazując udziału w składce. Zwycięstwo Watykanu w tej akcji nie było nawet połowiczne. Zamiast 40,000 funtów, jak (dla O'Connella, zebrano dla protestanta Parnella 37,000 funtów i wręczono mu te pieniądze w dniu 11 listopada. Wówczas to Parnell wygłosił znaną mowę, w której charakteryzując istotnie szczęśliwą sytuację irlandzkiej parlamentarnej frakcji w Westminsterze, zaznaczył: „Jesteśmy obecnie panami sytuacji parlamentarnej; w przyszłych wyborach będzie zależało od was, Irlandczycy, czy Anglija mieć będzie ministerjum torysowskie, czy ministerjum

liberalne. Jest to wielka siła i wielka władza. Jeśli nie mamy prawa rządzić sobą, to przynajmniej mamy możliwość wybierania tych, co rządzą nami”.

Wróćmy jednak do zagadnień aktualnych. Otóż dnia 16 sierpnia roku bieżącego, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, zebrał się w Dublinie prawdziwie narodowy sejm (parlament) irlandzki na otwarte, publiczne obrady.

Ofiarna, krwawa walka na śmierć i życie spadkobierców wszystkich (Zjednoczonych Irlandczyków), „Odważnych Chłopców”, „Niezwyciężonych”, „Fenian-terorystów”, „Drużyn Chłopskich i Parobczańskich”, tych wszystkich wolontariuszów z grona uzbrojonych Sinn-Feinistów lat ostatnich, i owych cichych do grobu schodzących w dobrowolnej śmierci z głodu burmistrzów z Cork i nieznanym z imienia i nazwiska powstańców Casementa wydała swe piękne owoce.

W stolicy kraju zwołano Republikański Sejm *Dail Eireann*, przed którym stanął prezydent tej Republiki Irlandzkiej, skromny adwokat, emigrant De Valera i zażądał aprobaty dla swych układów z premierem potężnej Wielkiej Brytanji..

Kilkuset posłów, prawidłowo obranych, zasiadło w obszernej sali ratuszowej *Mansion House* Dublina. owego ratusza, który tyle razy w dziejach rewolucyjnej walki był celem opanowania zbrojną ręką dla powstańców irlandzkich. Nad stołem prezydjalnym wisiał ogromnych rozmiarów portret Parnella, wokół sali obrad widniały marmurowe posągi zasłużonych działaczy narodowych, jak Burke, Goldsmidt, Fitzgerald, Emmet, O'Connell.

Nie znamy jeszcze ilościowego i jakościowego składu tego sejmu. Jedno jest jasne. Parlament irlandzki, obradujący obecnie, wyróżnia się jaskrawo wśród tego rodzaju ciał zbiorowych na kontynencie i w Anglii.

Sejm Irlandzki jest jednolity, nie posiada ani prawicy, ani centrum, ani lewicy — nie zna katolików, protestantów, socjalistów, chłopów, ziemian i kapitalistów, unionistów, narodowców, oranżystów. Jak przystało na sejm, który po raz pierwszy się zbiera po tylu stuleciach niewoli — *liczy w swem gronie tylko patriotów*. Więcej powiem. Ministerjum odpowiedzialne przed tym sejmem łącznie z prezydentem republiki De Valerą, niczem się nie wyróżnia od reszty posłów na sali. Wszyscy siedzą skromnie pomieszani po społu.

Odrodzony język staroceltycki, tak zwane walijskie narzecze, panuje wszechwładnie w obradach.

Marszałkiem sejmu obrano jednogłośnie John'a Mac Neilla, świeżo uwolnionego więźnia politycznego.

Sejm ten zdecyduje definitywnie, czy wyłoniona na konferencji prezydentów różnych brytyjskich domjnjów, zasada przyjęcia Irlandji na prawach dominjum — zadowolili niezaprzeczone prawa do niepodległości Irlandczyków, czy też Zielona Wyspa Erinu ukonstytuuje się jako niezawisła republika, ewentualnie wypowiadając wojnę o niepodległość Imperjum Wielkiej Brytanji.

Wielka i potężna chwila w życiu Irlandji... Przypomina ona nieco ów pierwszy wielki meeting dnia 14 lipca 1792 roku w stolicy protestanckiej prowincji Ulsteru, w mieście Belfast. Obchodzono

wtedy uroczycie rocznicę wzięcia Bastylli. W rogach sali bankietowej umieszczono obok chorągwi irlandzkiej chorągwie Francji, *Polski* i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. O sztandarze angielskim umyślnie zapomniano, a cały meeting i bankiet nosiły wyraźnie rewolucyjny w stosunku do rządu w Londynie charakter, aczkolwiek przez rząd ten dozwolone zostały.

A teraz w zakończeniu artykułu kilka suchych cyfr i zestawień.

Ostatni, przeprowadzony przed wojną, wyznaniowy spis w Irlandji przedstawia się, jak następuje:

| Prowincje | Ogólna liczba ludności | Katolicy | Protestanci | % Katolików |
|-----------|------------------------|-----------|-------------|-------------|
| Ulster | 1,581,696 | 690,816 | 890,880 | 43.7% |
| Munster | 1,035,495 | 973,805 | 61,690 | 94.0% |
| Leinster | 1,162,044 | 990,045 | 171,999 | 85.2% |
| Connaught | 610,984 | 583,004 | 22,980 | 96.3% |
| | 4,390,219 | 3,242,670 | 1,147,549 | 73.9% |

O ile napoly protestancka prowincja Ulster otrzyma dla załagodzenia konfliktów osobny sejm, wówczas do osobnego sejmku w Anglii, poza Szkocją i Walią oczywiście, pretendować może śmiało przede wszystkim sam Londyn, później hrabstwo Lancashire i Yorkshire i nastąpi wówczas już nie decentralizacja królestwa, lecz jego rozproszkowanie...

Samorząd miejski i ziemskie Irlandja posiada oddawna. Repartycja mandatów w irlandzkich radach prowincjonalnych według partyjnej przynależności objaśni nam w zupełności jednolitość obecnego sejmku w Dublinie.

| Prowincje | Zwolenników unji z Anglią | Niepodległościowców Irlandzkich | Radykałów | Dzikich |
|-----------|---------------------------|---------------------------------|-----------|---------|
| Ulster | 115 | 122 | 10 | 2 |
| Munster | 2 | 225 | — | — |
| Leinster | 12 | 317 | — | 4 |
| Connaught | 1 | 142 | — | — |
| | 130 | 806 | 10 | 6 |

Na 952 *Members of Irish County Councils* mamy 806 niepodległościowców.

Jakże daleką jest teraz Irlandja od *Home Rule'u*, jakże daleko od tych słów zastępcy Parnella w XX wieku, Johna Redmonda, przed laty 20, wypowiedzianych na meetingu w New Yorku:

„Dwadzieścia pięć lat temu jeszcze chłop irlandzki nie mógł nazwać ziemi rodzinnej, na której pracował, swoją własnością. Wszystkie narzędzia pracy, wszelka własność były dlań niedostępne. I oto z pomocą waszą, *obywatele Irlandji w Ameryce* ⁴⁾ oswobodziliśmy chłopca irlandzkiego, uwłaszczyliśmy go. Dziś połowa całej ziemi irlandzkiej ponownie do nas należy. Na ziemi tej pracuje szczęśliwy lud wyzwolającego się narodu. Błota i nieużytki zamienia on na żyzne pola uprawne, na których wznoszą się domy

kwieciami i jarzynami okolone. Ziemia nasza, grunt rolny, rentuje wspaniale. Anglja nie zdołała nas zubożyć, ona nas tylko wepchnęła w ostępy ciemnoty i ignorancji” ⁵⁾.

* * *

Czynni politycy odrodzonego państwa polskiego winni zaznajomić się z dziejami Irlandji. Kraj ten Polakom jest bliski i wiadomości o nim powinniśmy mieć lepsze od tych wiadomości, które premier angielski posiada o Górnym Śląsku.

M. Dąbrowski.

Przygotowanie dziennikarzy.

Założona w 1917 r. szkoła dziennikarska przy Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie uległa od jesiennego bieżącego kursu dość znacznemu przeobrażeniu. Powstała wśród burzy wojennej w ciężkich okupacyjnych czasach, obracała się w orbicie skurczonej działalności, zapatrzona w lepsze jutro. Pomimo najgorszych warunków, jak duszna polityczna atmosfera, brak należytej pomocy materialnej, przeszła przez Scyllę i Charybdę, aby obecnie oprzeć się na zdrowszych podstawach. To, że w drodze nie padła, że jeszcze w ubiegłym półroczu zdołała zszeregować sześćdziesięciu słuchaczy, zawdzięcza należy naturalnej potrzebie istnienia uczelni, poświęceniu jej właściwego inicjatora, profesora Ignacego Halperna i dobrej wyteżonej woli grona nauczycielskiego. Chociaż krótko istnieje, ma instytucja ładną tradycję. Wszakże na jej czele stał autor „Janki”, nieodżałowany powieściopisarz i publicysta, Wincenty Kosiakiewicz, wszakże następnie dzierzył jej ster Ignacy Matuszewski, ongiś redaktor *Tygodnika Ilustrowanego*, ogromnej kultury krytyk i znawca ojczyściej literatury. Blask spływający z ich nazwisk oraz ofiarność wykładających utrzymała szkołę *naufragio patriae ereptam...* I stało się dobrze. Wraz z odzyskaniem wolności, zaczęło się dziennikarstwo bujnie rozrastać, na prowincji wyskakiwało piśmo po piśmie, niby z pod ziemi, polskie słowo dociera do zapadłych krańców i szuka coraz nowej publicystycznej mownicy. Stare kadry dziennikarskie uprzędziły się lub nie wystarczają. Nowe trzeba wytworzyć. Często słyszy się powiedzenie, — że bezcelowem jest przygotowanie dziennikarzy w rutynie i w korbach szkolnych. Niewąpliwie, najmądrzej obmyślana pedagogja nie wykuje talentu, nie przypnie do pospolitych ramion skrzydeł pegaza, nie urobi lotności i intuicji Stanisławów Koźmianów, Aleksandrów Szukiewiczów, Klaczków, Koenigów i Manów, — nie dostarczy n. p. reporterji przenikliwości Blowitzów, ale może fachowo wykształcić szereg pracowników, potrzebnych do codziennego warsztatu, uzbroić ich w rynsztunek techniki i pogłębić młodzieńcze widnokreśli. Czyż największe uzdolnienie

⁴⁾ Zwracam specjalną uwagę na ten tytuł w oficjalnej mowie używany w stosunku do emigrantów w Irlandji, prawomocnych obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Najśmielsze przemowy polskich reprezentantów do milionowej rzeszy (rodaków) w Ameryce nie ośmielają się używać tytułu „obywatele Polski w Ameryce”.

⁵⁾ Ireland and the Empire, artykuł Arthura Page, w miesięczniku „Blackwoods Magazine”, styczeń, 1913 r.

muzyczne lub malarskie nie wspina się na szczyty sztuki dopiero po upoznaniu pewnych elementów? W Niemczech założono wiele podobnych uczelni, a nawet ustanowiono katedry dziennikarskie na uniwersytetach. U nas krakowska i lwowska *Alma Mater* mają docentów muzycznych, — ale nic nie słyhać o dziennikarskich. Czas najwyższy!... Zresztą samo życie tworzy konieczności. Ono udowodniło też przed młodszego pokolenia do zawodu publicystycznego, dostarczając znacznej liczby słuchaczy jedynej w Polsce zawodowo-prasowej szkole. Nowa organizacja wytknęła jako przewodnią linię specjalizację w kierunku literacko-historycznym lub polityczno-ekonomicznym. Samo studium rozciągnięto na trzy lata i zażądano od adeptów świadectwa z ukończenia szkoły średniej. W poczet wykładowych weszli A. A. Kryński, Ludwik Kulczycki, Adam Zagórski, St. A. Kempner, profesor filozofii Wolnej Wszechnicy, Ignacy Halpern, Władysław Wolert, b. profesor uniwersytetu lubelskiego, Tadeusz Hilarowicz i Stanisław Lam. Dyrekcję powierzono E. Lunińskiemu. Od samej młodzieży, od zapisywania się do uczelni żywiołowo o wysokim poczuciu powołania i miłowania narodowych polskich ideałów zależeć będzie powodzenie zamierzenia, poczętego w celu przysporzenia przedstawicielstwu naszej opinii publicznej dzielnych, narodowym i ludzkim duchem przepojonych szermierzy
Z.

Z piśmiennictwa.

Juljan Klaczko: *Dante Alighieri: I Epoka Dantego; II Znaczenie Boskiej Komedji*. Zamość. 1921. str. 64.

Studjum powyższe jest częścią zamierzonej obszerniej monografii o Dantem, któremu Klaczko poświęcił wiele mozolnej pracy w swoim życiu. Wskazuje na to rzucające się w oczy niedomówienie tematu, określonego tytułem. Pozatem w odsyłaczu na stronie 27 czytamy: „o tem niżej: Wiedza i Symbol“, a między wierszami oraz w zakończeniu zapowiedź dalszego rozwinięcia poszczególnych myśli spotykamy kilkakrotnie. Więc istniał poważny i obszerny plan całości, którego autor z niewiadomych przyczyn zaniechał. Tem nie mniej dwa wykonane rozdziały, pomimo zastrzeżeń, które dzisiejszemu czytelnikowi się nasuwają, stanowią prawdziwą perłę w naszej ubogiej literaturze Dantejskiej. Zarówno Epoka Dantego, jak znaczenie Boskiej Komedji, ujęte są po mistrzowsku, z ogromną erudycją i mogą być traktowane każdy z osobna jako całości, piękne miniatury obszernych zagadnień.

Klaczko napisał je w Paryżu w 1852 roku i w tymże roku przesłał do Biblioteki Warszawskiej. Oba zostały wydrukowane w zeszycie grudniowym (str. 385—421 tomu IV ogólnego zbioru XLVIII) bez podpisu autora. „Być może, że bawiąc w Paryżu bez paszportu bał się swoim nazwiskiem zwrócić uwagę władz na rodzinę, pozostała w Wilnie i narazić ją na przykrość“, przypuszcza profesor Tarnowski w swej pięknej dwutomowej monografii, poświęconej zmarłemu uczonemu i przyjacielowi (Juljan Klaczko, tomów 2, Kraków 1909. Nakładem autora, tom I na stronie 80 i 85). A dalej pisze:

„Ten artykuł, to jest właściwie wstęp, założenie, za którym dopiero miał iść wykład, rozwinięcie w ko-

lejnym przedstawieniu trzech części poematu, jego znaczenia i charakteru, które są z góry oznaczone w zbitym streszczeniu.

Tego dalszego ciągu, tej właściwej pracy o Dantem, niema; ale w tym początku daje się poznać to samo jego rozumienie, które po latach blisko czterdziestu znajdzie się w *Wieczorach Florenckich*. Daje się też poznać i podziwiać rozległą, gruntowną znajomość przedmiotu i jego rozlicznych opracowań; ze zdumieniem przychodzi się pytać, jak on miał czas już to wszystko przeczytać, dowiedzieć się? Nade wszystko daje się poznać ten wzrok bystry, orli prawdziwie, co z góry na rzecz patrzy, ogarnia wszystko, co do niej należy, a w niej widzi i przenika wszystkie składowe pierwiastki. Jak w „*Wieczorach Florenckich*“, tak i tu zaczyna się od roku 1300, od Wielkiego Jubileuszu Bonifacego VIII. Jak tam ten rok, ten początek wieku XIV jest datą przelomu, terminem schyłku wieków średnich, a brzasku nowych. Ta różnica czasów i ich charakteru wykazana w szeregu zestawień i porównań, głębokich i wspaniałych. Jak tam, poemat Dantego jest obrazem, pomnikiem średniowiecznego świata, jego wiary i jego wiedzy, jego rzeczywistości i jego ideału — jest rezultatem pracy wieków, skupieniem i podniesieniem różnych pierwiastków i form, które były rozproszone, niepołączone w organizm. Bardzo często spotyka się myśl, uwagę, nawet zwrot, znany już z *Wieczorów*. Bardzo piękny, mądry ustęp o podobieństwie natury, istoty, w architekturze gotyckiej i w *Boskiej Komedji*, a obok niego drugi, określający różnicę sztuki starożytnej i chrześcijańskiej. Wieki średnie się kończą, zaczyna się świat nowy; nie we wszystkim od nich lepszy, ale wielki. I kiedy o tym świecie i jego wielkościach mówi, przypomina tu Klaczko szczegół jeden (i jeden z najpiękniejszych już nie z „*Wieczorów Florenckich*“, ale z „*Juljusza II*“). Rafael dwa razy wymalował Dantego w kameryze *Della Segnatura*: na *Parnasie* i w *Dyspucie*. Otóż ten krótki ustęp o *Dyspucie*, to niby ziarno, zaród tego najwspanialszego jej opisu, jaki się znajdzie w jego dziele ostatnim.

Język, styl, jeszcze nie jest zupełnie wyrobiony: niema tego blasku, tej siły, jaka jest w pismach późniejszych, jakie są już w niemieckich *Hegemonach*¹⁾. Być może, że przez lata nauki w Królewcu i lata praktyki w Heidelbergu²⁾, Klaczko używał ciągle języka niemieckiego, a w polskim pisać nie mógł; dość, że tamże nie jest jeszcze ten pisarz niezrównanie świetny, jakim stał się z czasem.

Szkoda, że Klaczko zaczął tylko, a nie skończył, że koleje życia oderwały na długo jego myśli i pracę o Dantego. Może mielibyśmy w polskim języku studjum, choćby nie równe wieczorom, ale do nich podobne. Tylko, gdyby Klaczko był wtedy zagłębił się w Dantem i jemu swój czas i pracę poświęcił, nie mielibyśmy dziś jego pism polskich i o polskich sprawach“, kończy Tarnowski swe cenne uwagi.

W roku jubileuszu Dantejskiego, kiedy cały świat cywilizowany oddaje hold wielkiemu myślicielowi, dobrze się stało, że przypomniano piękne studjum

¹⁾ Broszura polityczna, wydana po powstaniu w Poznaniu 48 roku, w 1849 r.

²⁾ Klaczko studjował na uniwersytecie w Królewcu i tam zdawał doktorat. Zaś w Heidelbergu pracował następnie w dzienniku „*Deutsche Zeitungen*“, w którym umieścił kilkadziesiąt artykułów w rubryce *Russland und Polen*.

Klaczki, tem droższe dla czytelnika polskiego, iż pisane przez samego autora dla niego bezpośrednio w języku ojczystym i będące zapowiedzią jego znakomitych prac o Dantem, pisanych, niestety po francusku i znanych literaturze naszej z przekładów. W dwa lata potem, w 1854 r., w *Revue Contemporaine* pojawia się obszerna praca „Dante et la critique moderne”, przełożona przez Antoniego Potockiego (Szkice i rozprawy literackie, Warszawa, 1907, str. 19 — 91), a w 1880 roku dzieło wiecznotrwale w *Revue des deux Mondes*: „Causeries Florentines” (zaraz w r. 1881 osobno), przełożone przez Stanisława Tarnowskiego (po raz pierwszy w „Przeglądzie Polskim”, następnie w „Warszawskim Wieku” (1886), wreszcie w trzech edycjach książkowych).

Cisnie się pytanie, czemu Klaczko nie uznał godnym tych dzieł, z których „Wieczory Florenckie” są niewątpliwie szczytowym w całej jego spuściźnie literackiej, czytelnika polskiego przedewszystkiem?

Czemu rezultat tyloletniej myśli, którego zapowiedzią jest *Dante Alighieri*, zamknął w słowo obce?

„Kiedy nasi dzielni pisarze XVI wieku (próbują odpowiedzieć na to pytanie prof. Tarnowski w przedmowie do swego przekładu „Wieczorów”) obrabiać chcieli przedmioty powszechnego zajęcia i znaczenia, pisywali o nich po łacinie. Mieli słusność; rzeczy, do powszechnego użytku przeznaczone, powinny się pisać w języku powszechnie zrozumiałym. Taką samą słusność miał Klaczko, kiedy tę pracę swoją napisał po francusku”.

Dlatego też Dante Alighieri, będące pierwzym szczeblem dzieła potrzeby powszechnej, które imię polskie w obszernej nauce o Dantem postawiło w pierwszym rządzie, godne było przypomnienia w szesnastą rocznicę zgonu poety florenckiego, a w piętnaście lat po śmierci najwybitniejszego polskiego dantologa.

Stefan Pomarański.

W Polskim Komitecie Pomocy Rosji.

19 września w lokalu Polskiego T-wa Wschodniego odbyło się posiedzenie Polskiego Komitetu pomocy ofiarom głodu w Rosji. Obradom przewodniczył vice-prezes komitetu p. Aleksander Lednicki.

Ks. prałat Około-Kulak zakomunikował że statut Komitetu, uchwalony na poprzednim zebraniu, jest w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i w najbliższej przyszłości będzie zarejestrowany; następnie ks. prałat Około-Kulak zreferował stan sprawy pomocy Rosji w Polsce i zagranicą. Po wysłuchaniu tego sprawozdania, z którego wypływało, że sprawa pomocy Rosji utknęła i w Polsce i na Zachodzie i że tylko organizacja Hoovera przystąpiła do czynu, przewodniczący postawił następujące pytania: 1) czy Polski Komitet ma rozpocząć swą działalność wobec naprężonych stosunków polsko-sowieckich, z jednej strony, a przesilenia z drugiej? i 2) jeżeli, tak to jaki ma być stosunek do akcji Hoovera?

Pierwszym zabrał głos mecenas Bychowiec który oświadczył że według informacji jakie, posiada, głód w Rosji był bardzo przesadzony w tych relacjach, jakie poprzednie były otrzymane, że rząd Sowiecki ma środki do zakupu chleba i spekuluje na głodzie i że nie ma podstawy dla wielkiego alarmu.

Wszyscy następni mówcy jednakże wystąpili przeciw temu twierdzeniu.

Ks. Arcybiskup Ropp na podstawie opowiadań wiarogodnej osoby, tylko co przybyłej z Saratowa, p. Al. Lednicki na podstawie listu prywatnego otrzymanego z Archangielska, p. L. Kotnowski na podstawie wiadomości z Piotrogradu i p. M. Łoziński na podstawie szczegółowych relacji otrzymanych w kołach amerykańskich od agenta Hoovera, który objechał kraj nadwołżański, jednogłośnie stwierdzili, że *głód jest niesłychany, że klęska straszliwa, i cierpienia ludzkie przechodzą wszelką wyobraźnię.*

P. Lednicki zwrócił uwagę na to, że wśród cierpiących męki głodowe są i nasi rodacy którym przyjąć z pomocą jest naszym obowiązkiem, karząc jednak głodnych nie można robić różnicy według obywatelstwa lub narodowości.

Wszyscy przemawiający zgodnie wypowiedzieli się za tem, że akcję walki z głodem w Rosji prowadzić trzeba, nie zważając na naprężone stosunki polsko-sowieckie, ni na przesilenie ministerjalne. Sprawa ta powinna iść swoją drogą niezależnie od przesilenia, prof. Askenazy w Lidze narodów złożył oświadczenie, że Polska chce brać udział w niesieniu pomocy Rosji, a nie uczynił tego z pewnością bez porozumienia z rządem polskim. Deklaracja prof. Askenazego powinna być uważaną za deklarację rządową Polski w tej sprawie.

P. Lednicki przypomniał przytem, że minister spraw zagranicznych p. Skirmunt oświadczył też jeszcze wcześniej, że Polska przyłączy się do akcji międzynarodowej niesienia pomocy Rosji. Również minister Skirmunt jak i vice-minister Dąbski obiecali poparcie Polskiemu Komitetowi pomocy głodnym w Rosji.

Co się tyczy sposobów działania, to wszyscy przemawiający zgadzali się z tem, że jedyna do celu prowadząca droga to współdziałanie z amerykańkami. Wobec tego Komitet jednogłośnie uchwalił zgłosić swój akces do akcji Hoovera. Wykonanie tej uchwały poleconem zostało Prezydium wspólnie z p. p. L. Kotnowskim i M. Łozińskim, jako członkami polsko-amerykańskiego Towarzystwa

Oprócz tego uchwalono zwrócić się do Ministerstwa Kolei Żelaznych z propozycją oddania do rozporządzenia Hoovera taboru szerokotorowego, który mógł by służyć jednocześnie i dla celów repatriacji uchodźców polskich. Wykonanie tej uchwały polecono p. Łozińskiemu.

Dom dla zakładników.

W niedzielę 18 września w Poskim Białym Krzyżu przy ul. Dzielnej odbyła się uroczystość poświęcenia domu dla zakładników powracających z Rosji. Aktu poświęcenia dokonał ks. arcybiskup Ropp, który sam był więziony w Rosji, jako zakładnik. W przemówieniu swem ks. arcybiskup podkreślił, że tylko ci, co sami przeszli przez piekło bolszewickie rozumieją, w jakim stanie wracają do kraju z tego piekła ofiary bolszewickie, jak potrzebują opieki i materialnej i moralnej. Na ten że sam temat przemawiali i przedstawiciel Białego Krzyża p. Kiniewicz i przedstawiciele Związku Zakładników p. p. Moszkowski i Barylski.

Na tej sympatycznej uroczystości byli obecni marszałek Sejmu, prezes rady miejskiej, przedstawiciele władz, którzy obiecali poparcie tak potrzebnej instytucji, schronisko dla ofiar bolszewizmu. Jeden z obecnych złożył na ten cel 100.000 marek, prosząc przytem nie wyjawiać jego nazwiska, przykład godny na-

śladowania, bo instytucja ta zasługuje na poparcie społeczeństwa. Schronisko w domu przy ul. Dzielnej, bardzo dobrze urządzone, jest już czynnym od 2 miesięcy, przeznaczonym jest dla inteligencji i mieści 80 osób przeważnie kobiet. Jedną z tych kobiet ze łzami w oczach dziękowała Białemu Krzyżowi za opiekę, jaką powracający z Rosji znajdują w schronisku.

Stosunki handlowe polsko-jugosłowiańskie.

Królestwo S. H. S., bogate zarówno w plody ziemne, jako też we wszelkiego rodzaju minerały, posiadające olbrzymie lasy, świetną sieć rzeczną, dobre połączenie z zagranicą we wszystkich kierunkach i wreszcie położenie na drodze do Lewantu, jest rynkiem zbytu oraz miejscem zakupów, o które ubiega się dziś coraz więcej państw, zainteresowanych w nawiązaniu stosunków handlowych z półwyspem bałkańskim. Rynek jugosłowiański po przełomie r. 1918 zaopatrywały głównie w potrzebne fabrykaty Austria i Czechy i w mniejszym stopniu Francja, która miała odbiorców przeważnie dawnej Serbji. Z czasem w znacznej części Pragę, produkującą drogo, wyparł Wiedeń, i wreszcie w chwili obecnej głównymi konkurentami w zabiegach o opanowanie rynku jugosłowiańskiego są Niemcy i Włochy. Niemcy, wyzyskując niski stan swojej waluty markowej i taniość przewozu swych towarów Dunajem, dziś skutecznie konkurują z Francją, Anglią i Stan. Zjedn. M. i wkrótce ma podobno dojść do skutku utworzenie konsorcjum dla eksploatacji drzewa jugosłowiańskiego z siedzibą w Zagrzebiu, finansowanego przez Deutsche Bank. Gmina miasta Belgradu prowadzi rokowania z firmami niemieckimi w sprawie rozszerzenia miejskiej centrali elektrycznej, bliska jest realizacji sprawa budowy wielkiej niemieckiej fabryki konserw w Baczce. Niemniej rynkiem jugosłowiańskim interesują się również Anglicy, Amerykanie i Francuzi. W Londynie powstało niedawno tow. o kapitale 1 milj. £. dla eksportu towarów angielskich do Jugosławji, a kapitaliści amerykańscy skupują fabryki jugosłowiańskie i kopalnie. Czeski przemysł czyni usiłowania celem opanowania głównie Bośni, Hercegowiny i Dalmacji, dla których fabrykuje m. i. specjalne, do warunków miejscowych dostosowane maszyny rolnicze.

Najsilniejsza jest jednak w Jugosławji w chwili obecnej ekspansja gospodarcza Włoch. Akcją, mającą na celu opanowanie rynku jugosłowiańskiego, ułatwił Włochom traktat rapalski. Ten ostatni potwierdził bowiem wszystkie nader rozległe przywileje, uzyskane przez Włochów na terytorjach dzisiejszej Jugosławji po dzień 12. XI. 1920, przewidywał nadto zawarcie konwencji handlowej i utworzenie włosko-jugosłowiańskich izb handlowych. Jugosławja dotychczas nie zawarła umowy handlowej z żadnym z państw obcych, lecz w niedalekiej przyszłości dojść mają do skutku umowy z Włochami, Francją i Niemcami. Godziszę zauważyć, iż na odbytem posiedzeniu państwowej Rady Gospodarczej w Belgradzie w m. lutym większość przedstawicieli przemysłu, handlu i finansów wypowiedziała się przeciwko zawieraniu w tej chwili ostatecznych traktatów handlowych, głosując za umowami prowizorycznymi. Co do traktatu z Włochami. Rada Gospodarcza zajęła stanowisko, iż ma on być krótkoterminowy, z prawem wypowiedzenia i bez działu taryfowego.

Jako kraj wybitnie agrarny, posiadający przemysł b. słabo rozwinięty, Jugosławja wywozić może jedynie produkty rolne, przywozić zaś wyroby przemysłowe. Bilans handlowy Jugosławji jest pasywny, spowodowany z jednej strony nienormalnymi powojennymi warunkami gospodarczymi (np. zły stan komunikacji), z drugiej strony — niewłaściwą polityką handlową rządu. Nadwyżka importu nad eksportem tłumaczy się również sprowadzaniem masowem różnych artykułów technicznych na cele odbudowy zniszczonych części kraju.

(Dokończenie nastąpi).

Od Wydawnictwa.

Uprzejmie prosimy Sz. pronumeratorów o uregulowanie zaległej i bieżącej prenumeraty. Przedpłata za kwartał IV wynosi 600 marek; miesięcznie 200 mk.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego” wynosi od 1-go października **miesięcznie 200 mk. kwartalnie 600, zagranicą podwójnie.** Cena pojedynczego numeru **50 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy 80 mk. — Wiersz oblicza się na nonparel. Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYŃSKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch”, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: SPÓŁKA WYDAWNICZA „ZJEDNOCZENIE” Redaktor: Leon Kozłowski.

SPÓŁKA AKCYJNA WYDAWNICZO-DRUKARSKA „PRACA”, KREDYTOWA 2/4. TELEFON 60 70.